



Baranowski

Przygody

starego rolnictwa

Nv. 77s.



J. O. KSIĘCIU

AUGUSTOWI SUŁKOWSKIEMU

NA

PAMIĄTKĘ LAT PRZESZŁYCH

TO DZIELKO POŚWIĘCAM.

Data 1870

Znak 240

Nr inw. 151



Baran
Przyg
151

151



PRZEDMOWA.

Każdy ziemianin, wśród wiejskiego zacisza, widzi rozległy horyzont przed sobą i częstą miewa sposobność spostrzegania zjawisk natury.

Prócz tego są chwile, w których człowiek, znękany widokiem ucisku i cierpienia, zawiedziony w najdroższych nadziejach, woli raczej ze Sniadeckim uważać tę ziemię jako należącą do słońca niż do kogo innego.

Dla tych przyczyn polubiłem astronomią i częste robiłem spostrzeżenia, śledząc obroty ciał niebieskich.

Jednej nocy wyszedłem na dziedziniec. Było to jakoś około połowy Sierpnia 1850r.

Noc była jasna lecz chłodna. Mnóstwo gwiazd spadających nader zajmujący przedstawiało widok.

Ludzie, po trudach dziennych, dawno zasnęli — jeden tylko stróż nocny, poczciwy stary Jędrzej, oparłszy ręce na kiju, stał w zamyśleniu czy modlitwie pogrążony.

Kiedy ja patrzę na niebo i śledzę zapowiedzianej komety Karola Piątego, która po trzystu latach ma wrócić, Jędrzej się odzywa:

«Czegóż to paniczek tak szuka?»

— Szukam gwiazdy z ogonem, co w tych latach ma się znowu pokazać.

«Widziałem taką gwiazdę» rzekł Jędrzej, «widziałem za czasów cesarstwa. Nasi ludzie mówią, że to mietła, i dobrze mówią. Oj, wymietła ona dość narodu z tego świata! Co tego wyginęło na wojnach, co nędza zjadła, to strach powiedzieć. Ja sam za cud uważam, że się nie skapał na dobre w Berezynie.»

— Jakto, w Berezynie?

«Tak jest, paniczku.»

— Więc służyłeś w wojsku?

«Służyłem.»

To wyznanie, jakkolwiek niespodziane, nie bardzo mnie zadziwiło, gdyż szczątki wielkiej Armii nie są jeszcze taką osobliwością, żeby ich napotkać nie było można.

W dalszej rozmowie gdy zrobiłem uwagę, że właśnie są żniwa, że dzień taki był skwarny a teraz noc taka chłodna, rzekł stary Jędrzej:

»Nie ma się czemu dziwić, paniczku! W krajach nawet gorących często tak bywa. Pamiętam, że w Hiszpanii w dzień mógłby był kurę upiec przy słońcu, a w nocy dzwoniłymi zębami od zimna. Dla tego to każdy Hiszpan płaszcz lubi i bez niego się nie ruszy.»

— Więc byłeś w Hiszpanii?

«Byłem lat kilka, a nie tylko w samej Hiszpanii, ale i w Anglii i na wyspie Świętej Heleny.»

— Na wyspie Ś^{tej} Heleny! . . . To być nie może!

«Na tym świecie, paniczku, wszystko być może!»

Tu dopiero wielka mnie zdjęła ciekawość. Spojrzałem na stróża z uczuciem rzewnego uszanowania, bo w tym strózu widziałem teraz historyczną osobę. Zaraz też jego postać, jego zwykła godność i powaga, kazały mi wierzyć, że to stary wojak i wcale niepospolity człowiek.

Po chwili milczenia, rzekłem wzruszony: Mój Jędrzeju, trzeba żebyście mi kiedy opowiedzieli wasze przygody!

«Bardzo chętnie, paniczku. Na wsi nikt mnie nie rozumie — więc cóż im tam gadać! . . . Paniczkowi wszystko opowiem. Będę miał tę pociechę, że coś po mnie zostanie, że moje pamiątki nie pójdą razem zenną do grobu.»

Tak tedy z opowiadań Jędrzeja poznałem przygody jego życia i takowe sumiennie spi-

salem. Ten stróż nocny nie jest urojoną osobą, gdyż dotąd żyje z nami. Jego też słowa, rzetelne i prawdziwe jak jego prawy charakter, nie kreślą czczych baśni lecz rzeczywiste zdarzenia. Dziś oddaję publiczności to dziełko, w tem przekonaniu, że miło będzie czytelnikowi posłyszeć głos prostego żołnierza i naczynego świadka niektórych wypadków tej wielkiej i świetnej epoki, o której już tyle znakomitych talentów mówiło i pisało, bez wyczerpania przedmiotu.

Dnia 14 Lutego 1856.

S. B.

Sunt lacrymae rerum.

Rodziłem się w Kołaczkowicach, w dzisiejszem Księstwie Poznańskiem — nie wiem którego roku, ale dziś liczę blisko siedmdziesiąt lat wieku. Mój ojciec, Grzegorz Daleki, był chłupnikiem. Miałem trzech braci, a dwie siostry. Dwóch braci zginęło na wojnie, trzeci zaś brat, co był borowym w Dłoni, umarł sobie w łóżku.

Mogłem mieć około lat dwudziestu, bo już za parobka służyłem, gdy jednej nocy po świętym Michale, śpiąc przy koniach, odebrałem niespodzianą wizytę. Przybył sołtys z włódcarzem — i kazali mi ruszać za sobą. Wnet się dowiedziałem, że mnie biorą do wojska polskiego. Zaraz też nazajutrz zawieźli mnie

z wielą innymi do Rawicza, gdzie nas trzymali sześć niedziel. Przez ten czas uczono nas służby i musztry, póki się batalion nie uformował, a potem udaliśmy się najpierw do Poznania, a wreszcie do Berlina, kędy nas policzono do francuzkiej komendy. Nasz batalion składał się z jednej kompanji grenadyerów, z jednej kompanji woltżyerów i z oddziału strzelców, do którego ja należałem.

Z pod Berlina wróciliśmy do Poznania, z kąd wkrótce ruszyliśmy pod Grudziądz, nareszcie pod Czczewo, przeciwko Prusakom. Komendował nami generał Dąbrowski, co przyszedł był z Francuzami z Italii. W mieście Prusacy tego się bronili, ale nam się przecie udało, żeśmy ich przemogli. Nagnaliśmy ich dużo do rzeki, dużo ich zginęło w bitwie i przy szturmie — lubo i naszych dosyć nabrali i dosyć nagięło, a sam nasz generał był ranny w nogę, co nas bardzo smuciło, bośmy go kochali. Pamiętam, jak nieraz mówił przed bitwą:

Dalej dzieci, dalej żywo,

Otwiera się nasze żniwo:

Marsz, marsz, Polacy,

Nie żałujcie swej pracy.

Zresztą, był to pan pocieszny i rzetelny, a o żołnierza bardzo dbały. Był tam i drugi polski generał Zajączek, ale już nie tak lubiony.

Z pod Czczewa posuwaliśmy się ku Gdańskowi, pędząc przed sobą nieprzyjaciół, a gdy ci zamknęli się w Gdańsku, my obóz rozłożyli i przez dwanaście niedziel, robiąc szanice i kopiąc rowy, wciąż my się ucierali, aż nareszcie w dzień Bożego Ciała dostaliśmy się do miasta. Gdańszczanie mile nas przyjęli. Dano nam dobre kwatery. Ja cieszyłem się z tego, bo otrzymawszy ranę od kuli w lewą nogę, mogłem trochę odpocząć wygodnie. Zrazu oddano mnie do lazaretu, lecz tam tyle było brudu i nieporządku, że szukał wszelkich sposobów, aby się ztamtąd wydobyć. Pamiętam, że gdy pierwsza noc minęła w onym lazarecie, jeszcze widno nie było, a ja macam i patrzę okolo siebie, i postrzegam po obu stronach dwa trupy. Okropny mnie strach ogarnął, więc bojąc się podobnego losu, pót błagałem, aż mnie przecie wypuścili. Tak tedy za własnem staraniem, pomalu i ostrożnie, wyleczyłem się w obozie.

Po dwudziestu czterech godzinach wojsko nasze wyszło znów na przedmieście do obozu, a po trzech dniach poszliśmy pod Frydland. Przed nami wszystko palili Prusacy i Moskale *), tak że na dwanaście mil nie było widać jak tylko same kominy i pogorzeliiska. Bitwa rozpoczęta 14^{to} Czerwca, ciągnęła się dwa dni, a była krwawa. Przy nas zostało zwycięstwo. Dużo tam nieprzyjaciół zginęło, ale i naszych dużo. Po bitwie udaliśmy się do Błonia pod Warszawą, gdzie się odbyła rewia, a potem wróciliśmy na święty Michał do Poznania. Tu bawiliśmy trzy ćwierci roku i znowu poszliśmy pod Warszawę, gdzie nam powiedziano że pójdziemy do Westfalii, ale my poszli przez Saksonię do Francji.

Przybywszy do Paryża, odbyła się wielka parada, poczem Napoleon dał nam wielki obiad, do którego należały pułki polskie: czwarty, siódmy i dziewiąty. Ja byłem w tym ostatnim.

*) Dziś mówi się powszechnie Rosyianie, ale trzeba wybaczyć prostakowi, który nie myślał nikomu ubliżyć.

Po trzech dniach ruszyliśmy do Wersal, gdzieśmy złożyli polskie mundury a dostali francuzkie — przynajmniej mój pułk je dostał. Zabawiwszy dzień jeden, poszliśmy do Burdo *), a ztamtąd nagłemi marszami do Hiszpanii.

W Bajonie, blisko granicy, kazano nam wypocząć i dano wszystko, czego nam tylko było potrzeba.

Cdyśmy przeszli granicę, nie spotkaliśmy nigdzie żadnego oporu. Lud wszystek krzywo na nas patrzył, ale zwykle uciekał przed nami. Tak tedy postępowaliśmy bez przeszkody; jednakże, dla ostrożności, odbywaliśmy noclegi pod gołym niebem, zdala od wsi i miast.

Pierwsze miasto hiszpańskie, pod którem nam żwawy odpór stawili, nazywało się Wiktorrya. Sam Napoleon był tam z nami. Hiszpanie okropnie się bronili. Taki był huk, że aż ziemia stękała — aleśmy ich zmagli i dużo nabrali, reszta zaś zmykała co żywo. My szli

*) Bordeaux.

za nimi i pod Burgos trochę nam się oparli, lecz ruszyli znów dalej, a my też za nimi aż do Madrytu, szarpiąc się po drodze.

Raz w marszu stanęliśmy na noc nad jednym czworobocznym kanałem, zdala od wsi, a gdy konie poić zaczęto, zaraz padło z nich dwanaście. Dwóch żołnierzy spragnionych, co się także trochę napili, dostało okrutnego gryzienia po brzuchu, tak, że ledwie ich uratowano. Mówili wszyscy, że ta studnia była zatruta. Więc my niebawem, tej samej nocy, posunęliśmy się jeszcze przeszło o milę.

Hiszpanie weszli do Madrytu i chcieli się tam bronić, lecz miasto nie pozwoliło, mówiąc, żeby się bili w otwartem polu. Bitwy jednak żadnej nie było. Hiszpanie, do których się i Anglicy mieszały, jedni udali się ku Toledo, a drudzy ku Portugalii, więcej na prawo. My poszli za temi drugimi. Były różne utarczki, lecz dopiero na granicy portugalskiej formalna bitwa, gdzieśmy ich dużo natłukli i natopili. Naszych też ułanów dosyć z mostu nazrucano, bo się bardzo byli zapędzili. Nabraliśmy mnóstwo narodu, nawet i księży i różnych

osób. Ztamtąd poszliśmy dalej aż pod Lizbon, zkażeśmy potem wrócili nazad do Toledo.

W Toledo staliśmy przeszło ośm miesięcy. Hiszpanie i Anglicy, których już moc było, a którzy wszystkiego Hiszpanom dostarczali, obstawili nas do koła. Tak do nas bili, że aż ziemia drżała, ale że mury były grube i kamieniste, więc nam to mało szkodziło, bośmy się mieli gdzie schronić. Puszczali i bomby, które z góry padały i paliły gdzie padły, ale i to nam nie szkodziło. Wodę nam w całym mieście zatrzymali, a kto chciał pić lub gotować, musiał iść do rzeki, a zewsząd Anglicy do niego strzelali, tak dalece, żeśmy tylko w nocy chodzili po wodę. W samym mieście lud nam był niechętny; nigdy też pojedynczo żołnierz na ulicę nie wychodził, ale najmniej po pięciu razem.

Od Toledo jest tylko jedna droga, a reszta woda naokoło. Anglicy stali nad tą wodą i chcieli nam drogę zająć koniecznie. Nam się przykrzyć zaczynało, więcśmy wyszli z miasta ku Madrytowi. Pod Arangoz*), gdzie się woda

*) Aranjuez.

rozdziela, dużośmy nieprzyjaciół zastali. Nastąpiła porządna bitwa, w której z obu stron mnóstwo ludzi zginęło. My zwyciężyli i dużośmy nabrali niewolnika.

Od Arangoz wróciliśmy znowu pod Toledo. Tu przeprawiliśmy się w nocy. Nie spodziewali nas się wcale, więc uderzyliśmy na nich i rozegnali.

W kilka dni potem zebrali się do kupy pod Almonaz. My też tam poszli. Dopiero nastąpiła zjadła potyczka. Pod księciem Sułkowskim dwa konie zabito. Nas z tyłu i z przodu prażyli. Mielliśmy dużo pracy z piechotą, ale pobiwszy konnicę, dokazaliśmy i reszty. Hiszpanie, nie mogąc nas ruszyć z miejsca, mówili, że nas się kule nie imają — dlatego jeden generał hiszpański włożył wielki wór pieniędzy do armaty i kazał do nas wystrzelić. To jednak nie pomogło, bośmy nareszcie ruszyli na bagnety, a nasi Hollendrowie doskonale strzelali. Gdyśmy już pobili nieprzyjacielskie wojsko, wtedy ogromna massa ludu na sukurs wysypała się z oliwnego lasu. Rozpędziliśmy jednak wszystko, i przez dwie niedziele ciągleśmy ich

gnali aż pod góry Serra Moreńskie. Tam staliśmy dwa tygodnie, a przegnavszy ich za góry, wróciliśmy do Mansanares.

W Mansanares wzięli Polaków do kupy sześć kompanji; do tego przyłączono ułanów, kirasierów i huzarów, ogółem ze trzy pułki konnicy. Tak oddzieleni chodziliśmy blisko trzy lata. Każdy batalion miał kompanią grenadyerów i kompanią woltyżerów, do których teraz należałem. Generałowie byli sami Francuzi, nazywali się: Walans, Żyro, Suy*) i inni. Osobliwie też byliśmy pod ciągłą komendą generała Sobestyan **). Z Polaków najwyżej mieliśmy kapitanów. Książę Sułkowski i inni polscy generałowie zostali przy pułkach w tyle. Kiedy nam szło dobrze, tośmy się osobno trzymali, a kiedy nam było ciężko, tośmy się do nich cofali.

Odosobnieni w Mansanares, bojąc się żeby nam tyłu nie zabrano, chociażśmy już ogromnie

*) Valence, Giraud, Soult.

***) Sebastiani.

magazyny założyli, musieliśmy się cofnąć pod Konswegro, dokąd i Hiszpanie przysli za nami. Znowuśmy się bili i odegналиśmy ich, z niewielką dla obu stron stratą. Oni umknęli ku góróm, a my pod miastem obóz rozłożyli.

Ledwieśmy trochę odpoczęli w obozie, kapitan Jasielski, rodem z Borku, tak mówi do mnie: « Jędrzeju, masz tam co do zjedzenia? »

— Nie mam nic, panie kapitanie, a co gorsza, sam umieram z głodu.

« No, ty dość dobrze gadasz po hiszpańsku, więc ruszaj do miasta i przynos co możesz! »

Niemilo mi się zrobiło, bom był głodny i strudzony a lękałem się jakiej zasadzki od zawziętych Hiszpanów — ale cóż było robić? w wojsku musi kapral słuchać starszego. Poszedłem. Wchodzę ostrożnie do miasta — a tu rejuwach ogromny. Nasi ułani już się kręcą po ulicach, a Francuzi poustawiali broń w kozły i weszli do domów. Każdy rabował co się dało, a najwięcej szukano żywności i wina. Ja widzę przy bronii, przed jednym domem, stósy chleba złożone, więc mało myśląc łap za trzy bochenki, dalej z niemi do torby i

w nogi! Aż tu Francuzi wybiegają z domu — słyhać krzyk za mną — ja udaję że nie słyshę, tylko zmykam co siły. Nakłęli się do woli, ale poznawszy że to swój żołnierz, dali mi pokój. Ja też uszedłszy trochę, nieco już śmielszy, wszedłem do jednego domu. I szczęśliwie trafiłem, bo pełno tam było wina, likierów i mięsa różnego. Jeść nie było czasu, ale pociąłem dobrze smacznego winka, gdyż mi się okropnie pić chciało. Byli tam także różni oficerowie, a gdy im powiedziałem że kapitan mnie posłał, dali mi wzięść flachę wina, drugą z likierem, i jedną porządną szynkę, którą uwiązałem na powrozie, zarzuciłem na plecy, i tak opakowany kroczyłem do obozu.

Za moim powrotem, o mało mnie kapitan nie uściskał. Kazał sobie podać com przyniósł, usiadł z trzema polskimi oficerami, i tak wesoło pili i smaczno zajadali.

Ja odszedłem na bok, gdzie stał feldwebel Imbierowicz, poczciwa dusza, z którym zawsze wszystko dzieliłem, a on też nigdy o mnie nie zapominał. Pyta, gdzie bywał i czy mam

co? Ja mu rzecz powiedziałem, dodając, że mam trochę chleba i mięsa.

« A pić nie przyniosłeś? »

— Nie było gdzie zabrać, bo kapitan pierwszy.

« Ale jak widzę, rzekł znowu, tyś dobrze pociągnął — tobie się oczy świecą jak kotowi! »

— O nie, ja piłem ale nie dużo, bo sam rozum radził obawiać się zdrady — jednak mi dziwno, że taki rozmarzony!

« Ej, to minie — wnet się wytrzeźwisz na powietrzu — widać żeś nowicyusz do flaszki. »

Wieczorem, tego samego dnia, odebraliśmy rozkaz do marszu, ale tak, żeśmy w największej cichości o pierwszej godzinie w nocy mieli stanąć pod bronią, a potem ruszyć pod Santakrus*) za danym znakiem. Mnie okropnie sen morzył, choć oka zamknąć nie mogłem, a przytem czułem wielkie utrudzenie. Gdy pierwsza uderzyła, staliśmy już wszyscy gotowi do pochodu. Kiedy tak stoimy, czekając rozkazu, mnie napadło takie drzenie całego ciała, że w żaden sposób na nogach utrzymać się

*) Santa-Cruz.

nie mogłem. Imbierowicz to widzi i pyta co mi jest? Powiadam, że ledwo żyję — a on mówi:

« Wiesz co, nim dadzą hasło, oto idź za szereg i usiądź trochę, ale na Boga żebyś przypadkiem nie zasnął! »

Ja wlekę się na bok, kładę coś pod głowę, i tak oparty drzemie — zawsze sen odpędzając, który teraz jak ołów na moich oczach ciężył.

Co się ze mną działo, tego sam dotąd nie rozumiem. To pewna, że zasnął na dobre — a gdym się obudził, już świtać poczynało. Patrząc, a tu koło mnie ani żywej duszy — nasi odciągnęli — ja sam jeden pozostał. Dreszcz mi przeszedł po wszystkich kościach. Proszę sobie wystawić moje położenie, gdy leżąc jakby sparaliżowany, słyszę jakiś gwar od strony miasta — aż tu widzę, że mieszczanie wyszli hurmem do opuszczonego obozu. Każdy szuka swoich rzeczy, ten poznaje swe garki, tamten miedziane kociołki, i tak różni przeróżne rzeczy, których byli nasi żołnierze w Konswegro nałowili. Ja, zebrawszy całe

siły, odsuwam się na brzuchu jakie ze trzydzieści kroków, bo jak tu uciekać? — jeżeli wstanę, to palną do mnie lub hurmem się rzuca i rozszarpia biedaka. Strach wielki mnie ogarnął, bom wiedział, jak straszne są pomsty Hiszpanów. W powrocie z Portugalii, widziałem na własne oczy, jak złapawszy jednego Francuza, nietylko że mu uszy, kawał nosa i palec u ręki oderznięli, ale go jeszcze do polowy w ziemię zakopali.

Wśród niewymownej trwogi posuwam się jeszcze na brzuchu o kilkanaście kroków, żeby się gdzie dostać między drzewa, aż oto, właśnie od tej samej strony, widzę że idzie dwóch hiszpańskich chłopów prosto ku mnie. Tu już nie było rady; strętwiąłem do reszty i tylko duszę w gorącej modlitwie poleciłem Bogu.

Chłopi wnet mnie spostrzegli, nadchodzą oba i mówi jeden do drugiego:

« Patrzno, tu spi jakiś francuzki złodziej! »

— Czy masz twój wielki nóż? pyta się drugi.

« Nie, nie mam go przy sobie! »

To rzekłszy, podnosi duży kamień i podając go mówi:

« Oto spory kamień, uderz nim w łeb, a prędzej umrze! »

Te ostatnie słowa — Tera la cabeza, pronto morie! — tak pamiętam, jakbym je dziś słyszał, i do dnia sądnego ich nie zapomnę. Myślałem, że już ostatnia dla mnie wybiła godzina. Dziwno mi, że w tem straszmem niebezpieczeństwie jakoś się uspokoiłem i czułem się trochę pokrzepiony.

Skoro się całkiem do mnie zbliżyli, jeden się odezwał:

« Dzień dobry, kawalerze, co tu robicie? »

— A cóżbym robił, moi panowie, oto leżę chory i ruszyć się nie mogę!

« Ty lotrze — zawołał starszy — dziś udajesz chorego, a wczora ileś domów zrabował w mieście? »

— O nie, moi panowie, ja wczora jeszcze byłem słabszy niż dziś, jakże więc mogłem rabować?

« Zaraz się to pokaże! » krzyknął znów starszy.

I dalejże do mnie — zaczęli mnie rewidować i cały tornister wytrzęśli. Po długiem szukaniu, gdy nic podejrzanego nie znaleźli, patrzą

na mnie ponuro i milczą. Nareszcie młodszy tak mówi:

« Cóż zrobimy z tym człkiem? »

Starszy zapatrzył się w inszą stronę, gdzie się kręcili mieszczanie, nie odpowiada na pytanie, ale mówi:

« Oto ksiądz dobrodziej jest blisko! »

Istotnie widać było księdza w pobliżu — był bardzo gruby i miał ogromny kapelusz na głowie.

Chłopi poszli do niego i wnet razem wrócili. Ksiądz zaczął przez swoje Buenos dias caballero! potem pytał kto jestem i co tu robię?

Za księdzem mnóstwo ludu przybiegło. Nie mogłem ani odpowiedzieć, tak wszyscy wrzeszczeli. Zresztą, cóż tam było mówić, kiedy jasno widzieli, że żołnierz nieprzyjacielski. Odebrano mi broń wszystką, że tylko w płaszczu zostałem. Ksiądz kazał ludziom być cicho i kazał mi iść za sobą. Przybyliśmy do miasta, prosto na probostwo. Tu ksiądz usiadł za stołem, dobył papieru do pisania i zaczął mnie egzaminować. Powiedziałem mu szczerą prawdę, że polski żołnierz, daleki od swojej

ojczyzny, i na rozkaz starszych trzymam dziś z Francuzami. Tymczasem, w sieni zebrała się kupa ludzi, a bab najwięcej, które niestworzone rzeczy na mnie wygadywały. Ksiądz atoli nie zważał na ich wrzaski, lecz drzwi otworzywszy, kazał się trochę uciszyć i rzekł:

« Moi ludkowie, ten człowiek powiada, że jest Polakiem, więc musi być katolikiem — zobaczymy, czy to prawda! »

To rzekłszy, kazał przystąpić dwom chłopom, a ci rozebrali mnie prawie do koszuli, i ujrawszy szkaplerz z krzyżykiem na moich piersiach, zawołali:

« Si, verdad Sennor, este es Catto-lico Romano. »*)

Po tych słowach, jakby ręką przewrócił. Ustały krzyki i pomsty — już tylko z ukosa na mnie patrzali. Ksiądz też zaraz kazał mi podać kawał przesłicznego salcesonu i jakiegoś dobrego likieru, co oni rosołem**) nazywają. Przyznam się, że ani jeść ani pić nie mogłem. Salceson schowałem do kieszeni, a tego ich

*) Prawda, panie, jest Katolikiem Rzymskim.

**) Rossoli.

rosołu wypilem kieliszeczek, a chociaż bardzo nalegali, nie chciałem pić więcej przez ostrożność, nie wiedząc co dalej będzie. Dzięki jednak Bogu wszechmogącemu, nie złego mnie nie spotkało. Ksiądz pocziwy, przemówił pięknie do ludzi, żeby mieli miłosierdzie nad bratem katolikiem, który temu nie winien że przyszedł wojować do ich kraju; że Pan Bóg nieba im za to przychyli, i wiele tym podobnych a ślicznych rzeczy. Jakoż niedługo rozeszli się wszyscy i ja sam jeden z księdzem zostałem. Nie wiedziałem prawdziwie, jak mu godnie podziękować. On atoli, mało dbając o dzięki, zapytał, co myślę ze sobą zrobić? czybym nie chciał u niego pozostać?

— Jabym wolał iść za swemi! odrzekłem.

« A dokąd? »

— Pod Santakrus, bo tam nasi pociągnęli!

« Prawda — rzekł dobroliwie — wiem o tem, i cieszy mnie, że prawdę mówisz. »

Potem otworzył okno i zawołał jakiegoś wyrostka. Gdy nadszedł chłopak, kazał mu przygotować dwa osły do podróży. Wnet wszystko było gotowe — ale jakżem się zdziwił, gdy

mi wszystką broń oddano, gdy mnie obficie zaopatrzone w żywność, i kazano wracać do swoich.

Pożegnawszy ze łzami zacnego księdza, ruszyłem w drogę. Z początku podróż szła szczęśliwie, nikt mi ani słowa przykrego nie rzekł, ale dopiero gdyśmy się między góry dostali, zaczęli do nas zbrojni górale strzelać, że aż kule świszczały. Chłopak krzychał po hiszpańsku z całego gardła, ale to nie pomogło — albo zapewne nie słyszeli, albo też nie zwadzali. Widząc, że to nie żarty, dopieroż długim kijem, jakby od cepów, zaczął obkładać swego osielka i porządnie szturchać mojego. Biedne osięta biegły i drepcity co żywo. Mnie piechurowi, od tego drepcenia tak było przykro, że aż mi zęby szczekotały. I salceson w kieszeni tańcował, lubo ten był pewniejszy odemnie, bo ja o tem tylko myślałem, żeby się nie zwalić — takem się gibał z jednej strony na drugą. Dziś to trochę śmieszne, ale wtedy dalibóg nie było do śmiechu ochoty.

Koniec końców, umknęliśmy przed góralami szczęśliwie i przybyliśmy nareszcie do naszego

obożu. Chłopcu dałem trochę żywności, a gdy odpoczął, kazałem mu wracać wolno do domu, i prosiłem, żeby raz jeszcze dobrodziejowi podziękował. Potem udałem się do mojej kompanji. Pierwszy, którego z naszych spotkałem, był poczciwy Imbierowicz. On mnie pyta:

« A gdzieś ty bywał, żem cię dotąd nie mógł nigdzie zobaczyć? »

— A jakżeś mnie miał widzieć, kiedy wracam dopiero z Konswegry!

« Co ty bajesz, człowiecze? — to chyba żeś wtedy zasnął? »

— Naturalnie, żem zasnął i basta!

Tu opowiedziałem mu całe zdarzenie. On zaraz to kapitanowi meldował, ten znowu dalej; aż nareszcie ta moja przygoda doszła do księcia Sułkowskiego, który mnie sam o wszystko rozpytywał. Zeszło się było kilku ze starszych — słuchali wszyscy ciekawie, a potem słyszałem jak między sobą mówili: « Trzeba nam pamiętać o poczciwym księdzu, żeby mu nikt krzywdy nie zrobił. Taki uczynek jest godzien wdzięczności. Musimy być wszyscy u niego! »

Ależ, mój miły Boże, czemuś są rady ludzie? Przyszliśmy znów później do Konswegro; chcieli nasi panowie księdza uściskać, ale cóż kiedyśmy w tem mieście same prawie gruzy zastali. Księdza nie było, zgoła ludzi nie było. Kościół zastaliśmy otwarty i zrabowany. Co kosztowniejsze zabrali, a tylko same komże, ornaty i stare kapy poniewierały się po ziemi. Serce się ścisnęło na widok takiego spustoszenia w miejscu poświęconem. Ale cóż? — wojna! oj wojna, wojna! — Dowiedziałem się, że Francuzi, którzy po nas do Konswegry byli wpadli, przez zemstę tak zniszczyli to miasto, a to dla tego, że mieszczanie zabili im jednego generała. Jak się ten generał nazywał, tego nie pomnę, ale to wiem, że zawsze na białym koniu jeździł.

Po pewnym czasie przyszło do bitwy pod Okanią, gdzie okropnie walczone; tak, żeśmy musieli iść na bagnety, bo w ciasnej drodze armaty na nas zasadzili. W tym szturmie dużo naszych zginęło, ale i Hiszpanów dość nabitó

i nabrano. Noc spędziliśmy w polu, naprzeciw nieprzyjaciół. Nad ranem cicho się wynieśli, więc my wrócili do Mansanares, z kąd potem poszliśmy pod góry, aby ich szukać.

W górach była wykuta droga. Tę w dwie długie linie obsadziliśmy, nie puszczając nikogo. My strzelcy mieliśmy pierwsze placówki. Właśnie mój sąsiad, kapral Wojtek, rozmawiał ze mną, aż tu między obiema placówkami prze-myka się do swoich jakiś Hiszpan, ubrany w krótkie porteczki, szary spencerek, konopne pończochy i skórzane kamasze. My wołamy stój! — on umyka, myśląc zapewne że uciecze, bo wieczór był ciemny. Nasze jednak ogniska dość widno świeciły, żeśmy go złapali. Powiedział, że szuka zgubionego osiełka — my temu nie wierzyli, owszem, oddaliśmy szpaczka do generała Sobestyan, gdzie się pokazało, że to był szpieg, bo gdy go zrewidowano, miał na łytkach pod pończochą wypisane ile nas było i wieleśmy mieli armat. Kazano go zaraz powiesić. On bardzo prosił, aby się nad nim zlitowali, obiecując i przysięgając, że nam to wierną służbą odwdzięczy. Darowano mu życie.

Jakoż, służył nam przez trzy lata, zawsze bawiąc przy generale. Ten człowiek istotnie oddawał nam wielkie usługi, bo gdziekolwiek nas zaprowadził, wszędy nam było dogodnie. Wszystko donosił i wiernie służył. Później dopiero, gdy mu się rzemiosło sprzykrzyło, prosił o wolność i puszczono go w Maladze.

Ten szpieg, zaraz na wstępie powiedział nam, że ta droga bita na wielu miejscach jest niebezpieczna, bo Hiszpanie miny podłożyli, by nas wysadzić w powietrze. Generał Sobestyan zapobiegł temu następującym sposobem. Kazał chłopom hiszpańskim spędzić ogromną osłów gromadę, na które włożono niby ogromne kosze, bom tego z blizka nie widział. Te osły z ludźmi w szeregach, jakby wojsko jakie, mając na przodzie prawdziwych dobo-szów którzy straszliwie bębniłi, maszerowały po onej drodze. Aż tu naraz ogromny huk — patrzmy, a tu dym wielki; chłopci i osłeta ledwo nie pod same niebiosa latają po powietrzu. Widać, że Hiszpanie miny zapalili, myśląc iż nasze wojsko ruszyło. My jednak byliśmy tylko świadkami, jak się sami złapali —

kto pod kim doły kopie, sam w nie wpada. Nasi dobosze, minawszy zasadzkę, uniknęli wprawdzie nieszczęścia, lecz dostali się w ręce Hiszpanów, i tylko jeden później do nas powrócił. Gdy wszystko ucichło, my dopiero opuściliśmy góry i bez żadnego przypadku ciągnęliśmy ku Granadzie.

Pod samą Granadą znowuśmy się potrzepali, poczem weszliśmy do miasta. Ztąd udaliśmy się do Tawerny, nad morzem, gdzieśmy osiem miesięcy stali, ciągle na różne strony patroli i wycieczki robiąc. W nocy, z konnicą i armatami, zawsześmy na pole wychodzili, a w dzień wracaliśmy do koszar.

Nimesmy z Granady pociągli do Tawerny, staliśmy przez cztery miesiące w mieście Santofe*). Żeby się opatrzeć w mięso, raz na patrolu zajęto w górach czterysta pięknych owiec i tyleż kóz. Tę trzodę musieli chłopci paść po górach, a my z bronią naładowaną chodzili za niemi. Na noc przypędzano stado

*) Santa-Fe.

do miasta, na jedno podwórze ogrodzone: Raz pod wieczór, gdym właśnie zamykał bramę, słyszę że ktoś puka i gwałtem się dobywa. Patrę, aż oto stoi Hiszpan niewidomy, którego jakies pacholę pod rękę trzyma.

— Co wy tu chcecie? pytam.

Ów niewidomy, który mógł mieć około lat trzydziestu, odpowiada żałośnie:

«Ach, pozwól trochę, bo to moje owce i kozy! Dowiedziałem się, żeście je zabrali. Pozwól, abym uściskał choć jedno z moich jagniąt!»

Żal mi się zrobiło biedaka, więc schwytałem jedno jagniątko i podałem mu.

On ścisnął i całował ze łzami to zwierzę, a potem westchnawszy puścił je, mówiąc: «Już ty teraz nie moje — idź sobie z Bogiem!»

Chłopak, który go prowadził, rzekł:

«Senor Alonzo, co nam płacz pomoże? Chodźmy lepiej do domu!»

Już chcieli odejść, kiedy ja rozczulony mówię:

— Panie Alonzo, kto wie czy się nie da jako naprawić wasza strata. Jać wam pomódz nie mogę, ale wam daję taką radę. Idźcie do

Granady, gdzie mieszka generał Sobestyan. Tego proście, a jak on każe puścić, my to chętnie zrobimy. Wszak próbować nie szkodzi:»

Alonso podziękował za radę i poszedł. W kilka dni potem wrócił z pisanyim rozkazem. Generał kazał mu wydać po dwieście maciorek z dwojga rodzajów, cośmy też uczynili.

Radość ślepego Hiszpana była niezmierna. Pytał, gdzie jestem i jak się nazywam, a gdym mu powiedział że mi na imie Jędrzej, zawołał:

«Andres, amigo, bueno hombre!»
Pójdź do mnie, niech cię uściskam!»

Jak mnie złapał za szyję, o mało mnie nie udusił. Potem zaprosił mnie do swego domu, gdzie się rozgościł, a gdzie poznałem jego matkę i dwie siostry. Nie wiem, czy mi gdzie na świecie było lub będzie lepiej. Alonso, gdy mnie tylko poczuł lub posłyszał, zawsze wołał serdecznie: «Andres, amigo!»

Przez cały czas naszego pobytu w tem mieście, nie znałem co bieda. Już to jadła i picia miałem do sytu, a co to za przyjaźń i serdeczność! Obie siostry zawsze mnie obszyły i

*) Jędrzeju, przyjacielu, dobry człowiecze.

opraly. Taką miałem śliczną bieliznę, by panicz jaki. O nic się nie troszczyłem, bo one same myślały o wszystkim. Były to urodziwe i pobożne panienki, osobliwie zaś młodsza, co się zwała Dulores*). Ta bardzo mnie lubiła, a ja też krzywo na nią nie patrzył. Cała familia chciała mnie zatrzymać — nawet namawiali, żebyśmy został na zawsze z niemi. Co lepsza, ofiarowali mi Dulores za żonę. Przyznam się, że będąc rozkochany, widziałem raj otwarty przed sobą. Ale cóż — żołnierz nie do siebie należy. Porzucać chorągiew i rodaków dla osobistej korzyści, to wstyd i hańba. Zbyłem ich jak mogłem, nie mówiąc ni tak ni siak. Prawdę powiedziawszy, serce mi się od żalu krajało. Biłem się z myślami, nie wiedząc sobie rady; zgola, chodziłem jak błędny człowiek.

Wkrótce potem odebraliśmy rozkaz do dalszego pochodu. Było to jakoś pod wieczór. Ja właśnie stałem gotowy do marszu, gdy przybiega Dulores i mówi z płaczem:

*) Maria-Dolores.

«Ach, zostań, zostań! Cóż ja tu pocznę nieboga?»

— Widzisz sama, odrzekłem, że broni rzucać nie mogę!.. Może później wrócę, ale teraz....

Nie mogłem skończyć, bo mi głos w gardle strętwiał.

Ona milczała chwileczkę, poczem znów rzekła: «Mój drogi, nie chcę być przyczyną twego nieszczęścia, więc idź z Bogiem! Weź jednak te pieniądze, które tu przyniosłam, a nie zapominaj o nas!»

Stokrotnie ucałowałem jej ręce, dziękując za wszystkie dobrodziejstwa jak najserdeczniej. Prosiłem, aby uściskała odemnie Alonza, matkę i drugą siostrę.

Wtem zaczęto formować szeregi — Dulores spojrzała na mnie, a widząc łzy moje, gorzko się uśmiechnęła — i ze spuszczoną głową odeszła. Ja też z ciężkim sercem stanąłem z drugimi, gdy zawołano marsz! wyruszyliśmy z miasta.

Później byłem znowu w Santofe, i ledwie kurz z nogi otrzepawszy, pobiegłem do domu

Alonza. Niestety, nie zastałem nikogo! Wszyscy uciekli przed Francuzami, którzy po nas zajęli byli to miasto. Nie mogłem się nawet dopytać, gdzie się obraca moja biedna Dulores. Jużem jej też odtąd nie widział, i chyba na dniu sądnym ją zobaczę!

W tem mieście Santofe, to jeszcze jest ciekawego, że tam był dawniej jakiś król murzyński *) zabity. Widziałem nad bramą jego głowę i ręce skrzyżowane; resztę zaś ciała w Granadzie na placu Defin pochowali.

W kilka dni po przybyciu do Tawerny, kazono mi wziąć kilku żołnierzy i szukać drzewa na opał. Pod miastem był lasek oliwny, a ponieważ to drzewo doskonale się pali, więc my skoczyli z siekierami do onego lasku. Jużemy rąbać zaczęli i sporą nawet kupę narabali, gdy przychodzi jakiś mieszczanin i mówi:

«Moi ludkowie, nie róbcie mi krzywdy! Ten lasek jest mój — szkoda marnować tak piękne i pożyteczne drzewięta!»

*) Maurów.

Ja mu odpowiadam: Wybacz jegomość, ale muszę słuchać danego rozkazu i koniecznej potrzeby, bo przecie na słońcu gotować nie będziemy!

«Kiedy tak — odrzekł obywatel — tom ja gotów dostarczyć innego drzewa, tylko już moich oliwek nie psujcie!»

Żal mi było biedaka, więc mówię:

— Dobrze, ale nas zaraz prowadź i daj czego chcemy! —

Don Sebastyan, bo tak się zwał mieszczanin, zaprowadził nas do miasta, gdzie przybywszy do składu, kazał przynieść wagę i odważył nam pięknego drzewa, ileśmy żądali.

To mnie bardzo zastanowiło, że ci ludzie tak ważą drzewo, jak u nas kupcy cukier i kawę. Później zmiarkowałem, że w Hiszpanji trudno o drzewo opałowe. Francuzi w potrzebie i deski nawet od trumien odrywali i zabierali. Nieraz posądzano ich o rabunek, a oni to z potrzeby nie ze swawoli czynili.

Bądź jak bądź, nie brakło nam nigdy opału. Don Sebastyan zawsze dostarczał, a co większa zrobiono go naszym magazynierem. Będąc

często przy wadze, miałem sposobność usłużyć Hiszpanowi, bo gdy czasem czego przybrakło, nie robiłem żadnych trudności lecz brałem od razu co dawał. Ztąd poszło, że ów Sebastyan wzięwszy mnie na bok, rzekł do mnie: «Przy lasku oliwnym poznałem się z tobą — zaraz widziałem żeś dobry i ludzki, a teraz się ciągle przekonuję, że godny z ciebie człowiek; dla tego proszę, żebyś dom mój uważał za własny — możesz przyjść zawsze jak będziesz głodny lub spragniony, a ja ci niczego załować nie będę!»

Tak tedy, według możności, chodziłem na posiłek do Sebastyana, i wyznać muszę, że dobrze mi z tem było. Razu jednego, przybywszy na wieczerzę, usiadłem sobie w małym pokoiku, a wtem przybiega Sebastyan i powiada wesolą nowinę, że dziś wyprawia chrzciny, bo żona synka mu powiła. Powinszowałem mu tego szczęścia, a gdy odszedł, usiadłem znów osobno.

Tymczasem goście schodzić się zaczęli do dużej izby, gdzie sutą ucztę przygotowano. Słyszałem przez drzwi ich rozmowę — hała-

sowali niepospolicie — a ja sobie siedzę i siedzę. Cóż mi to szkodziło, że się bawią? Alem się tego nie spodział, że i ja do tej zabawy należeć będę. A jednak tak się stało. Któs drzwi uchylił. a gdym się ruszył ze stołkiem, wbiega i pyta jeden Hiszpan, kto tu? Sebastyan odpowiedział, że to żołnierz polski którego on często widuje. Nuż tedy kompanja prosić mnie do siebie, a tak prosili, zem rad nie rad musiał wnijsć do onej izby. Zastałem duzo księży, bo ich przynajmniej było dwunastu. Prócz wielu mieszczan, było też i kilku milicyantów, którzy mieli na sobie kurtki i spodnie nankinowe, a kapelusze na trzy rogi. Skłoniłem się wszystkim, mówiąc: «Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!» Oni prosili mnie siedzieć, podali grzecznie jadło i picie, a sami dalej gwarzyli.

Najwięcej mnie bawiło, że każdy miał osobną lampkę do wina, a jedno było cygaro dla wszystkich, którem się obdzielali, bo gdy jeden zapalił, podawał go drugim, i tak dalej póki się nie wypaliło; poczem znowu inne cygaro zaczęli.

Miła to była zabawa. Jedliśmy dobrze, a piliśmy jeszcze lepiej. Wszyscy też byli dobrze podchmieleni, a mnie tak się już w oczach dwoiło, że u lampy, co stała na stole, dwa knoty widziałem.

Księża przysiedli się do mnie. Jeden z nich rzekł:

«Wiemy żeś Polak i katolik, ale powiedz nam, jakie jest wasze nabożeństwo?»

Ja tedy zacząłem im opowiadać o naszym polskim kościele, a oni często przerywali, mówiąc: «To tak jak u nas!» Potem kazali mi mówić pacierz, a ja widząc że księża nie żartują, zacząłem im odmawiać po polsku Ojcie nasz, Zdrowaś, Wierzę, aż skończyłem na żywot wieczny, Amen. Oni też to samo po hiszpańsku mi powiedzieli. Kiedym ja gadał, to słuchali z największą uwagą, lubo Panu Bogu wiadomo, czy tam co zrozumieli. Dosyć, że im się to podobało.

Po tych pacierzach, zostawili mnie samego i poszli do reszty kompanji. Ja siedziałem rozmarzony, myśląc jedynie, jak ja się do koszar dostanę.

Kiedy tak siedzę i myślę, moi Hiszpanie jakoś sposepniali i zaczęli narzekać. Ciekawość mnie zdjęła, więc pytam:

— Cóż się to stało, że wy tak lamentujecie?

Jeden z nich odpowiada:

«Oto widzisz, nie wiemy jaki będzie los tego dziecka nowo-narodzonego, i szukamy pod jaką plamentą*) się rodziło.»

— A to głupstwo, moi panowie!

«Jakto głupstwo?» krzyknęli wszyscy.

— A jużci głupstwo, bo u nas kiedy się dzieciątko narodzi, to się cieszą rodzice, komotry, krewni i przyjaciele, a wy tu płaczecie!

«A to wy głupi jesteście, bo jakże się można cieszyć, kiedy trudno zgadnąć zawczasu, co z tego dziecka będzie i jakie mu grożą niedole?»

— Ej, to trzeba Panu Bogu zostawić — rzekłem rozgniewany — a przyjąć wesolo co dał. Już jeżeli płakać, to chyba za temi co pomarli!

«Co ty gadasz, człowiecze? — krzyknął jeden,

*) planetą.

aż mu się oczy zaiskrzyły — Umarły skończył swoje cierpienia, a zatem nie potrzeba go płakać. Przynajmniej taka jest nasza wiara!»

— To wasza wiara jest kiepska! — rzekłem rozjątrzony, zrywając się ze stolka.

Oni też powstali, wrzeszcząc z całego gardła:

«Nie wasza, lecz nasza wiara jest lepsza!»

— Ja was przekonam, że to nie prawda. U nas w Polsce robimy co Kościół nakazuje, a wy nie zawsze słuchacie Kościoła. Kiedy w Polsce post lub święto, pobożny katolik pości przykładnie i szanuje każdą uroczystość, a wy przeciwnie robicie. Odkąd jestem w Hiszpanji, widziałem nieraz, że w wielkie nawet święta jeszcze się nabożeństwo nie skończyło, a wy dla zarobku różne odbywacie roboty; a co do postu to wstyd powiedzieć, że nawet w piątek mięsisko jadacie. Tak więc lepsza jest nasza wiara!

«Nie, nasza jest lepsza!» wrzasnęły Hiszpany.

— Nie prawda! — krzyknąłem zajadle.

«A to poganin!» zawołał jeden zapalczywie.

— Tyś sam poganin! — odrzekłem, zgrzytając zębami.

Tu jeden dobywa sztylet i prosto do mnie. Ja, choć nogi podemną drżały, odskoczyłem na bok, toby mnie jednak nie było uratowało gdyby nie Don Sebastyan, który, widząc moje niebezpieczeństwo, otworzył drzwi do sieni, porwał mnie za plecy i wypchnął. Nie wiem jak zeszedłem po schodach, ale to wiem, że prawie wytrzeźwiony wróciłem do koszar, i dałem sobie słowo, że póki życia mego, nigdy z Hiszpanami o wiarę klócić się ne będę.

Jednego razu przyszlśmy na noc do miasta Lubrin, co znaczy ogień, i dobrze nazwane, bo nam tam djabelnie było gorąco.

Z trzech stron otaczają to miasto góry, a z czwartej woda. Jeden dzień minął spokojnie — na drugą noc, mieszczanie pobrali naszych na kwatery, a ci co mieli służbę, zostali na mostach.

Komendant, rodem Francuz, z szesnastego pułku dragonów, mieszkał u księdza. My wszyscy nie mogliśmy cierpieć tego oficera, bo nas krzywdził. Brał pieniądze na mięso i

wino, a nam kazał tylko dawać sztokfiszu. Zresztą był dobry do komendy — mimo to jednak, byliśmy gotowi łeb mu skrócić przy pierwszej okazji.

Ja, mając pięciu żołnierzy, stałem na górze, blisko miejskiej bramy — dalej niejaki Bronowski z Sempolna także z pięcioma, a jedla po górach insze placówki rozłożone.

Przy rozpalonych ogniach do koła, żołnierze siedzieli i gwarzyli. Ja stojąc ze sztucercem na czatach, jakieś złe miałem przeczucie i ciężko mi było na sercu. Noc była ciemna i późna — zdałoby się, że wszystko spi na świecie, a tu czasami słyhać było jakiś głuchy szcęk i stuk. Oj, myślę sobie, coś się tu święcił! To nie bez kozery — Hiszpanie pewno gotują zasadzkę!

Więc idę do placówki Bronowskiego, i tam przyszedłszy, widzę, że jeden z moich nazwiskiem Modrzeński, szewczyk z Poznania, opuścił posterunek i poszedł do sąsiadów na pogadankę. Zgromiłem żołnierza i kazałem mu wrócić na swoje miejsce, a wiedząc że Bronowski lubił łyknąć czasami, mówię do niego: «Dla Boga, żebyś mi dziś nic nie pił — bo

tu o naszą skórę chodzi! Jeżeli się nie mylę, ciarachy chcą nam kurtę skroić!

Ciarachami lub szarachami nazywaliśmy chłopów hiszpańskich, dla tego, że się szaro wszyscy ubierają.

Bronowski dał mi słowo że pié nie będzie; ostro upomniał swoich żołnierzy aby się mieli na baczności, a ja wróciłem do swoich.

Właśnie zegar w mieście uderzył dwunastą. Słyszę, że coś sapie i stęka pod górą — zbiegam na dół i spotykam chłopą z osiełkiem, który był opakowany we wory skórzane. «A dokąd tak późno?» pytam. On odpowiada, że wiezie wino do magazynu, ale gotów nas także poczęstować. Zabieram go tedy i prowadzę ze sobą, a przybywszy na placówkę, aby się przekonać że istotnie w tych worach jest wino, kazałem je otworzyć. Chłop usłużny prosi, żebyśmy się napili. Na to ja mówię: «Pij sam pierwszy!» On łknął porządnie, mówiąc, żebyśmy się nie bali, bo wino nie zatrute. Ja przeto skosztowawszy, napiłem się trochę, i wezwałem kolegów, aby się cokolwiek pokrzepili. Bronowski też łknął, ale w miarę.

Prawdę powiedziawszy, to winko było paradne. Aby jednak oddalić pokusę, kazałem chłopu ruszać do miasta, co też jakoś leniwo uczynił. Mnie się zdaje, że zdrajca na to rachował, że czaty zabiorą mu wino i że się popiją. Dzięki atoli Bogu, nic z tego nie było.

Po odejściu chłopą, wróciłem na stanowisko i uchem natężonem pilnie słuchałem. Znow słyszę jakiś szmer cichy i szczękanie. Więc schodzę na sam spód góry, wytrzeszczam oczy do koła, i odsuwając ogromne liście drzew figowych, co je morskimi zowią, a które na piaskach rosną, spostrzegam w ciemności chmarę ciarachów, jakby jakie pole makówek. Bez namysłu palnąłem ze sztucera — i dalejże nazad. Oni też za mną strzelili — kule świstały, alem uszedł zdrowo na górę.

Nasi już stali w pogotowiu, dali ognia w powietrze, czekając ataku. Nikt nas atoli nie atakował, lecz wkrótce usłyszeliśmy zgiełk w mieście. Hiszpanie z przeciwnej strony tam wpadli i najpierw zajęli dom proboszcza. Komendant, za pomocą księdza, ledwie z życiem uciekł, a jego ordynansa w kawalki rozsiekali.

Tymczasem nasi, po kwaterach leżący, zaczęli się zbierać na rynku. Słychać już było straszliwe wrzaski i głośnie strzelanie. Ja patrzę ku bramie, a tu pędzi komendant z gołą głową na otwarte pole. Gdy przybył do nas, nie mieliśmy nawet czasu zapytać o rozkazy, bo w tej samej chwili mnóstwo Hiszpanów ujrzelśmy za sobą. Palnęli do nas, ale tak blisko i rżęsiso, że już nie kule, co poszły górą, lecz sam płomień nas uderzył.

Powalony na ziemię, stoczyłem się na sam spód góry — macam się wszędzie, lecz widzę, że mi się nic złego nie stało. Myślę, co teraz począć? aż oto słyszę w pobliżu jakieś francuzkie narzekanie: *O mon Dieu, mon Dieu!* Idę za głosem i znajduję potłuczonego komendanta, który wciąż swoje *mon Dieu* powtarzał. Wzięła mnie ochota pomścić się krzywd naszym. Pomny na odgródki moich kamratów, porwałem za bagnet, żeby weń ugodzić. Im częściej on teraz Pana Boga wzywał, tem bardziej mnie to drażniło. Jużem podniósł rękę — lecz nagle ochłonałem w zapalczywości, myśląc sobie: Człowiecze, co ci z tego przyjdzie?

Ty sam lada chwila możesz tu zginąć, jakże więc staniesz na strasznym sądzie bożym? —

Uderzyłem się w piersi, splunąłem na pokusę, i ciężko westchnąwszy — podziękowałem Panu Bogu, że nie dopuścił spełnienia tej zbrodni.

Podniosłem komendanta, który poznawszy kto jestem, przestał lamentować.

Ja mówię: — Panie, coś złe z nami!

A on odpowiada: « Żeby się tylko do miasta dostać! »

Więc wziąłem go pod rękę i tak oba dążyliśmy ku bramie. Tu ledwieśmy się przedarli — taki był natłok wchodzących i wychodzących. Nasi z górnych placówek już tam byli pospieszyli, za nimi zaś ze wszystkich stron cisnęli się Hiszpanie. Wśród ciemnej nocy trudno się było rozpoznać. Na samym rynku bój wrzał zacięty. My teraz, razem zebrani, broniliśmy się jak lwy, a na rozkaz komendanta cofając się ku bramie, nie przestaliśmy się odstrzeliwać.

Prawdę powiedziawszy, Hiszpanie sami nie wiedzieli co robią, bo gdyśmy nareszcie wy-

brnęli za miasto, słychać było zdaleka ciągle wrzaski i bitwa wciąż trwała. Widać, że sami ze sobą się tłukli, a my tymczasem uszykowani, ruszyliśmy na odwrót do Tawerny. Gdy świtać zaczęło, my już byli uszli blisko milę. Hiszpanie, poznawszy swój błąd, dopiero nas ścigać zaczęli. Dogonili nas wprawdzie, lecz nam już szkodzić nie mogli.

Raz poszliśmy z Tawerny do Lorki i do Mureyi. W tem ostatniem mieście, gdyśmy na ulicy pracowali, topiąc w wodzie ładunki hiszpańskie, usiadło nas trzech Polaków w cień, bo upał był nieznośny.

Kiedy tak siedzimy i odpoczywamy, wychodzi jakiś ksiądz i pyta:

«Coście wy za jedni?».

— Polacy! odpowiadamy.

A on na to: «Ja też Polak! Lat dwanaście jak bawię w tym kraju — prócz ptasiego mleka niczego mi nie brak — lecz mi tęskno i chciałbym mieć aby jednego rodaka przy sobie.»

Wtem oficer krzyknął: allons, au travail to jest, żebyśmy dalej pracowali. My więc do roboty, a ksiądz nagle zniknął i odtąd nie wiem co się z nim stało. Już go nigdzie nie spotkałem. Często jednak postać tego księdza stoi mi przed oczyma, i zda mi się, że jeszcze głos jego słodki a żalorny słyszę.

Wróciwszy do Tawerny, odpoczęliśmy dwa tygodnie, potem poszliśmy da Bassy *) na pomoc Francuzom, których tam Hiszpanie w oblężeniu trzymali. Odpędziwszy Hiszpanów na dwie mile, sami w tem mieście zostaliśmy przez cztery miesiące. Piękne to miasto, ma śliczne kąpiele, ogrody przecudne, i wyborne owoce różnego rodzaju, a najwięcej aprykozów**). Jedwabiu też dużo tam robia.

Pod tą Bassą, na jednym przedmieściu, stała nasza kompanja za kościołem świętego Józefa, który był piękny, ale Francuzi trochę go zrabowali.

*) Baza.

***) Morele.



Jednej nocy gdy rozstawiono straż, dziecięciu z naszych, ustawiwszy broń w kozły, staliśmy sobie czuwając i gwarząc. Wtem widzimy, że dwóch ludzi skrada się do naszego obozu. Dwa razy nam uciekli, lecz za trzecim razem, gdyśmy się zasadzili przy bramie kościelnej, dostaliśmy ich przecie. Jeden był ksiądz, uzbrojony w karabin, drugi zaś chłop z długim nożem.

Ksiądz prosił, abyśmy go puścili — ze nam da pieniędzy, ile zechcemy. Ale my na to nie przystali, tem bardziej że się zdarzało, iż gdy żołnierz wziął kiedy pieniądze od Hiszpana, ten go potem zaskarżył i ciężko bywał karany. Oddaliśmy więc obu do generała Sobestyan, który ich kazał sądzić. Tam się przyznali, że chcieli zabić aby jednego Francuza. Sąd wojenny skazał ich na szubienicę. Odprowadzeni do Kwadyksu *), nie długo czekali spełnienia wyroku. Na rynku ustawili nas w trzy szpalery, za nami zaś tysiące ludu się zebrało. U kraty jednego domu, przed naszym frontem, powieszono księdza i chłopca — pierwszy miał

*) Guadix.

karabin, drugi nóż przy sobie. Ksiądz się urwał i spadł na bruk, ale go znowu wciągnięto i gdy powtórnie wieszać go chcieli, prosił o pozwolenie mówienia. Pozwolono mu przemówić. On rzekł do zgromadzonych: «Bracia kochani, gińcie wszyscy za naszą świętą wiarę, a nie dajcie się tym poganom!»

Po tych słowach nagle mu powróz zarzucono — i skończył biedak na szubienicy. Ja patrząc na to, tak mi się żal zrobiło onego księdza, że się na dobre rozbeczałem.

Odebraliśmy rozkaz posunąć się ku Maladze. W marszu, blisko wsi Gogolis, to mnie zastanowiło, że po obu stronach bitej drogi znajdowały się domy podziemne; do tych zaś były jedne drzwi u góry szklane, niby okna jakie, któremi szło się po schodach na dół. Tam dopiero było co widzieć! Wszystko pięknie urządzone, a cukrów rozlicznych ogromna massa, bo to sami cukiernicy tak mieszkali. Dość tylko popatrzeć, a już człowiekowi było słodko! Nad temi zaś sklepami były stodoły,

do których wczasie żniw nie na wozach lecz na mułach i osłach snopy z pola zwłóczyli i na boicę składali. Potem nagnano kupę osłów i mułów, a te zwierzątka musiały dobrze tańcować i drepcić. Takie drepcenie jest u nich młóceniem. Oj cepów, cepów! ale nie powiem na kogo!

Pod Malagą zebrało się do pięćdziesiąt tysięcy Francuzów i Polaków. Tu dopiero nastąpiły szturmy i bitwy. Hiszpanie oddawna byli przygotowani. Wszystko za broń chwyciło, nawet księża i kobiety, a nawet widziałem i małych chłopaków z flintami. My, trzy razy odparci, za czwartym dopiero uderzeniem zdobyliśmy miasto. Na ulicach rzucano z okien różne pociski i war na głowy nam lano. Blisko miasta jest góra, którą Hiszpanie ogromnemi obsadzili armatami. Te najwięcej nas raziły, lecz gdy je przecie nasi ułani zabrali, już nam łatwiej szturm poszedł.

W Maladze zostawiono oddział Francuzów i Polaków pod komendą księcia Sułkowskiego, a nas strzelców odkomenderowano trzy mile dalej.

Przez dwie niedziele chodziliśmy po górach i zganiałiśmy rozpierzchłych Hiszpanów. Potem przeszliśmy znowu z tej strony Malagi i stanęliśmy w Antikera. Ztąd udaliśmy się na pomoc Francuzom ku Rondo, gdzie ich Angliecy byli oblegli.

W marszu trafiliśmy na Hiszpanów, którzy naszą kompanią bez strzału puścili, a potem z przodu i z tyłu nas obskoczyli. Tu nastąpiła okropna potyczka. Jasielski, szef batalionu, dwa razy ranny, zachęcał do obrony lecz nareszcie sam zginął. Tak samo i adiutant Imbierowicz poległ. Z nas tylko trzystu zostało, i zamiast iść do Rondo, musieliśmy się cofnąć. Przez trzy dni i trzy nocy błąkaliśmy się po górach, najwięcej ciągnąc nocą kryjomo, aż przecie, po tysiącnych trudach i niebezpieczeństwach, wybrnęliśmy do swoich, do Antikery.

Z pod Antikery poszliśmy do Granady. Tu kompletowano bataliony. Nasza też kompania dostała dość rekrutów od cesarza. Potem ro-

biliśmy Józefowi Napoleonowi, którego Hiszpanie zwali Josef Primero, wielką paradę.

W tym czasie nieprzyjaciel podstąpił ze swoją konnicą pod samo miasto. Józef wykonderował nas wołyżerów i sześćdziesiąt koni dragonów. Odegnaliśmy nieprzyjaciela. Już i noc była nadeszła. Pod wsią trochęśmy na górze odpoczęli, a żeśmy byli głodni, więc oficerowie kazali nam iść ostrożnie do wsi po żywność. Wzięliśmy co było można, i wróciwszy bez żadnego przypadku, przemocowaliśmy na onej górze.

Rano, ledwie świtać zaczęło, ruszyliśmy do miasteczka Pawło^{*)}, bo był rozkaz dany, że byśmy koniecznie do Motryła nad morzem patrol zrobili.

W Pawło zastaliśmy mnóstwo Hiszpanów, konnicy i piechoty, którzy, ujrzawszy nas nie spodzianie, z takim popłochem uciekali, że się naprawdę za nimi kurzyło. Zostawili na rynku masę wina, chleba i wszelkiego jedzenia. My, ośmieleni ich ucieczką, dalejże za nimi! Półtory mili za Pawło była rzeka i tam dopiero się

^{*)} Padul.

oparli. Nad tą wodą długośmy się szarpali, bo mostu żadnego nie było, tylko bród po pas. Nasz komendant zdruzony, kazał nam wołyżerom zezuć bóty i spodnie, i tak brnęliśmy przez wodę, a nasi nad głowami naszymi do Hiszpanów strzelali. Trwała przez trzy godziny zwawa trzepanina, poczem znów oni umykali. My za nimi, aż do jednego miasta Aharun w górach, gdzie pełno było krzaków. Ztąd już tylko trzy mile do Motryła.

W Aharun, obstawiwszy warty do koła, o samym zmierzchu poszliśmy szukać żywności. Żołnierz był głodny, a nie było co dać. Szukamy więc — lecz wszędzie ciemno i pusto — tylko nasze ognie przy broni w kozłach na rynku się palą — w mieście żywej duszy nie ma. Znajdujemy nareszcie jakiegoś siwego starszka, który nam powiada, że mieszkańcy wszystko zabrali ze sobą. Prosimy, aby się nad nami zlitował i wskazał jaki posiłek. Dopiero, wzruszony naszym głodem i pokorą, pokazał nam dom pełen mąki, gdzieśmy i różne naczynia piekarskie znaleźli. Więc zaraz się wzięto do pieczenia chleba, i nim dzień za-

Przygody.

switał, każdy z żołnierzy dostał po sporym bochenku. Tenże staruszek zaprowadził nas do jednego ogrodu, gdzie pełno było kóz pięknych. Każdy z nas brał po jednej, rznął i piekł jak umiał. Tak nasyceni, o świcie wyruszyliśmy ku Motryłowi.

Wkrótce spotkaliśmy Hiszpanów, którzy most mурowany na jednej rzece obsadzili i nie chcieli nas puścić. My, nie aprendując, uderzyliśmy na nich i przeparli. Trochę dalej jeszcze nam raz zabiegli, ale i tą razą udało nam się ich odeprzeć. Odtąd bez przeszkody dążyliśmy prosto do Motryła, dokąd i drugi oddział Francuzów miał przybyć w tymże samym czasie od Almeryi.

Nasz komendant wprowadził nas do miasta. Wszycyśmy się z tego cieszyli, myśląc, że tam Francuzów zastaniemy. Aleśmy się grubo zawiedli. O Francuzach ani slychu — a tu ze wszystkich stron zaczynają się wychylać Hiszpanie, a gdzie jeno nasi stąpią, zaraz do nich wałają jak do dzików.

Tak tedy obsaczeni szukaliśmy schronienia

31

po kątach miasta, tłukąc się po ulicach między domami. Przed wieczorem, komendant posyłał na wysokie wieże kościołów, i kazał patrzeć ku Almeryi, czy sukurs nie idzie? Sam patrzył przez długą perspektywę — to wszystko nie pomogło, bo nikogo nie było widać.

Wkrótce noc nadeszła. Widać było ognie Hiszpanów z trzech stron, a czwarta tylko od morza była wolna.

Nasze położenie było okropne. Komendant skłopotany, kazał nas zwołać wszystkich, i rzekł:

« Dzieci, źle będzie z nami! Tu zostać nie możemy. Wiecie, że tłumy nieprzyjaciół nas okrzyły, a nasi nie przyszli. Do rana czekać nie podobna, więc po cichu trzeba się wynieść z tego zakłętego miasta!»

Co komendant mówił, to każdy z nas już pierwszej był myślał. Gorzko nam było, że nas niepotrzebnie wpędzili do takiej matni — ale cóż, musieliśmy milczeć, bo żołnierz słucha nie rezonuje.

Na rozkaz komendanta ruszyliśmy po cichu — jedną tylko drogą co była wolna, to jest

ku morzu. W ciemnej nocy zśliśmy tą drogą — aż tu o kilka staj morze! I jakże teraz będzie? — Darmo, trzeba stanąć i wracać nazad.

Trzy razy wychodziliśmy i trzy razy wracali do miasta. Gdyśmy po raz czwarty nad morzem stanęli, zaczął gęsty deszcz kropić. Posunęliśmy się w bok, nad brzegiem morskim, żeby się jako wymknąć. Czaty i ognie hiszpańskie tak były blizkie, żeśmy wyraźnie twarze nieprzyjaciół widzieli. Nikt tam nie spał — owszem, wszystko się krzątało — jedni kładli drzewo na ogień, drudzy siedzieli, inni chodzili i rozmawiali. My, zdecydowani na wszystko, posuwaliśmy się pod ich nosem na piasku, coraz dalej i dalej, aż nareszcie uszedłszy mileczkę, umknęliśmy na jedną górę.

Nad ranem dał się słyszeć gwar daleki. Widać, że Hiszpanie postrzegli naszą ucieczkę. Jakoż nie długo puścili się w trop za nami i przyszli do onej góry. Strach mię bierze, gdy sobie dziś przypomnę owe chmary ciarachów, które nas zewsząd obległy. Było to dwudziestego Sierpnia. My stali na górze, mając

morze za plecami. Generał hiszpański, Kondo czy Konko, zaczął do nas szturmować. Jego pułk miał helmy, ale nie kończate, tylko z białym ogonem przez środek. Po kilka razy wdzierali się na górę, lecz my zawsze ich zepchnęli. Mielśmy dwie armatki, które wozono na mułach, i z tych armat tęgośmy grzmocili. Od rana do południa wrzała zacięta bitwa — ogień wciąż się sypał — nie ma co mówić, pięknieśmy się bronili! Ale cóż, kiedy po południu amunicyi nam zabrakło. Byli tacy, co już ani jednego naboju nie mieli przy sobie.

Hiszpanie zażarcie nas trafil. Zabito nam kilku dzielnych żołnierzy, a trzech raniono. Nasz kapitan Bote i porucznik Antosiewicz zawołali mnie do siebie i rzekli: «Pod górą stoją dwa osły — idź i przyprowadź je tutaj, bo rannych zabierzemy!»

Ruszyłem tedy na dół z drugim żołnierzem, co się zwał Kurczewski, a był rodem z Łowicza. Przyszliśmy do ładnego domu, gdzie była długa altana winogronami okryta, a przed tą altaną stały owe dwa osielki. Ledwiesmy

weszli do cienistej altany, aż oto wychodzi gospodarz i pyta, czego chcemy? Ja mówię, że mamy zabrać te osły. On na to: «Te osły są liche i do moich ludzi należą, ale chodźcie do izby, a ja wam każę moje własne przyprowadzić, które daleko są lepsze!» Idziemy tedy do izby. Gospodarz, widząc żeśmy okropnie zmęczeni, pyta, czy pić chcemy? — Ach, odpowiadam, i owszem, jesteście głodni i spragnieni! — On kazał dać wina wybornego i usmażyć nam jajecznicę, co nie długo trwało. Zmęczonym więcej smakowało picie niż jedzenie — gospodarz zaś ciągle zachęcał.

Kurczewski stał przy drzwiach kiedyś ja zajadał, a gdy on chciał jeść, ja wartę trzymałem. To się gospodarzowi nie podobało — prosił, żebyśmy byli spokojni — ale widocznie nas zatrzymywał, bo znów kazał dziewczynie przynieść koziego sera i innego wina. Ja pytam o osły, a on mnie zbywa, że zaraz przyjdą.

Tymczasem na górze ciągle się biją — byliśmy jak w gorączce, nie mogąc ustać na nogach — aż tu słyszę od morza strzelanie.

Pytam, co to znaczy? Gospodarz mówi, że tak sobie chłopci króliki i zające strzelają. Powiedział to zaś z taką miną, że ja mignąłem na Kurczewskiego, aby się miał do odwrotu.

Dziewczyna wraca z winem i ze serem. W tej samej chwili wpada do izby dwóch naszych żołnierzy i mówią: «Dla Boga, kapitan nas posyła, żebyście zaraz wracali!» Ja tedy biorę wino, a krąg ogromny sera rozkrajam na czworo, i każdy z nas pakuje część do sakwy. Potem zabrawszy oba osielki, co stały pod altaną, wynosimy się spiesźnie.

Na podwórku było mnóstwo drobiu, a szczególnie sliczne kaczki i indyki. Moi koledzy dalejże za niemi, jak zaczął gonić i walić kijem — a gospodarz patrzy z boku.

Ja mówię: Moi bratku, głupstwo robicie! Tu śmierć przed nami, a wy się bawicie jak dzieci. Co tobie po kaczce lub indyku? gdzie je będziesz piekł, lub smażył, kiedy sam nie wiesz, czy doczekasz wieczora? Ej, dajcie pokój drobiowi!

Wiarusy poskrobały się trochę, żal im było, ale usłuchali mej rady. Jużemy wychodzili z podwórka, gdy ktoś puka po moim ramie-

niu. Oglądam się i widzę gospodarza. Ten, ścisnąwszy mnie za rękę, szepnął mi do ucha:

«Zostań w moim domu!»

— A to czemu?

«Jeżeli ci życie miłe, zostań w moim domu!»

— Ale czemu mam zostać?

«Patrz, od morza ciągnie dziewięć tysięcy chłopów, a drugie tyle wojska regularnego od rana was oblega!»

Patrzę, patrzą i drudzy, a tu istotnie wielka chłopów rzesza już blisko — aż mrowie po nas przeszło. Porwaliśmy się z miejsca jak oparzeni.

Gospodarz woła: »Ani jeden z was nie ujdzie! wszyscy zginiecie!»

Ja poprawiłem kaszkiet na bakier i rzekłem: — Ej co tam, już mi się nieraz upiekło i teraz się upieczcie! —

Byłem zuch, ale podobno dobre wino nie mało się do tego przyczyniło. Bądź jak bądź, nie dałem się zbałamucić.

Wdrapaliśmy się z osłami na górę. Wnet przybiega kapitan z porucznikiem, i pytają, czy mamy co z sobą? Daliśmy im wino i sera,

na który jak głodne wilki się rzucili. Grzmot, dym, wrzask i same kule, nic im nie przeszkadzały — jedli sobie smaczno i spokojnie, jakby na chrzcinach lub weselu. W tej wojnie hiszpańskiej tak ludzie byli oswojeni ze śmiercią, że nikomu na myśl nie przyszło strachać się czego.

Kiedy oni jedzą, ja opowiadam com słyszał od gospodarza i com widział na własne oczy. Kapitan machnął ręką, mówiąc: «Ej, to baśnie mospanie! Zwyczajnie Hiszpan chce nas nastraszyć i gada o tysiącach, których nie rachował.»

Antosiewicz zaś przydał: «Nie daliśmy się dotąd, i djabeł-by nas ztąd nie ruszył, gdybyśmy mieli ładunki — ale i tak się nie damy tej hałastrze!»

Ledwie to wymówił, aż tu przybiega sam komendant zmieszany i każe nam patrzeć ku morzu. Patrzymy — widać rybaków jak obok swych budek sieci rozwieszają — a dalej mnóstwo łodzi, co spieszą do lądu.

«To pewnie Anglicy» mówi komendant; «powiedziano mi, że to Anglicy!»

— Cóż teraz poczniemy? — pyta kapitan.

Komendant odpowiada: «Na górze zostać nie możemy, ale zejźmy na dół i tam uszykowani bronić się będziemy.»

— Ale czem? zagadnął kapitan, kiedy zupełny brak amunicyi?

«Darmo!» rzekł komendant, wzruszając ramionami.

Lubo niechętnie, zesłiśmy na dół — i wnet uszykowanych, opadły nas roje Hiszpanów. Nie byłato już walka lecz formalna szturchanina. Kolbami nas tłukli i gnali ku Motrylowi. Przyśzliśmy na jakieś wilgotne miejsca gdzie rosta bawełna. Tu dopiero w tej fatalnej bawełnie zaczęli do nas sypać ogniem plutonowym. Nasze wiarusy, nie mogąc się bronić, padali jak muchy — gdzie się obejrzę trup, gdzie ucha nadstawię, słyhać polskie o Jezus! z ust padającego człowieka.

A cóż komendant, który nam taką łaźnię sprawił? Ten bił się jak lew ze swemi dragonami, lecz straciwszy kilkunastu, drapnął z resztą konnicy do Granady, a nas biedaków w takim bigosie zostawił.

Już teraz było szaleństwem się bronić —

wołamy pardon! — a Hiszpany rozradowane pędzą nas, jakby trzodę bydła, do Motryla.

Tak tedy dostaliśmy się do niewoli. Trudno opisać co z nami wyrabiali i cośmy wtedy wycierpieli. W mieście zamknięto nas wszystkich na jednym cmentarzu. Nawet kobiety nie miały nad nami litości. Każdy przychodził, aby nas tylko wyśmiać i zponiewierać. Obdarto nas ze wszystkiego. Co gorsza, na niektórych ani koszuli nie zostawiono. Ja, Kurczewski i niejaki Prożyński z Łowicza, staliśmy pod murem zupełnie nadzy, a tu upał nieznośny i ludność jakby na teatr zbiegająca się. Bogu tylko wiadomo, ilem wstydu wytrzymał. Spuściłem oczy ku ziemi i modliłem się cicho do Boga, aby mnie wybawił od tej hańby i sromoty lub zabrał z tego świata.

Kiedy tak nieszczęśliwi stoimy, przybył też jakiś hiszpański generał w stósonanym kape-luszu. Szedł przed naszym frontem i gdy stanął przedemną, ja rzekłem wznosząc ręce

do góry: Panie, zlituj się! wszak pies ma przynajmniej ogon, by nagość swą pokryć!

General, słysząc hiszpańską mowę, szturchnął mnie w piersi tak mocno, że byłbym upadł, gdyby nie mur cmentarza.

«Więc ty Hiszpan a trzymasz z Francuzami?» krzyknął przeraźliwie.

— Nie, Panie! ja nie Hiszpan lecz Polak!

«Jakże więc umiesz po hiszpańsku?»

— Przez lat kilka bawiąc w tym kraju, nauczyłem się waszego języka.

«A zkad ty rodem?»

— Oj daleko ztąd, bo od Poznania!

Widać że go nasze nieszczęście wzruszyło, bo zaraz kazał nam przynieść koszule i krótkie spodnie, na jeden guzik z boku zapinane, jak to dawni Polacy nosili.

Takiej radości nie pamiętam w życiu, jak wtedy, gdym trochę tej bielizny rzucił na biedne ciało moje. Jużem śmieiej patrzył na ludzi, na słońce i na ten świat boży.

Nie długo potem przyszedł rozkaz, żeby nas wsadzić na okręt i zawieźć do Alikanty. Wzięto nas tedy i zawieziono na łodziach do okrętu.

W tej samej chwili, kiedyśmy odpływali, powieszono w mieście Wszyńskiego z Mosiny i czterech innych wiarusów. I wtedy właśnie nadszedł mocny oddział Francuzów od Almeryi, ten właśnie na któryśmy czekali, a który, będąc wstrzymany w drodze, teraz dopiero w większej sile przybywał. Z powieszonych Polaków Wszyński i jeszcze jeden uratowani, ale trzech innych już zastano uduszonych.

Nam przybycie Francuzów nie pomogło. Przyszli dwie godziny zapóźno dla naszego ratunku, a teraz kto nas tam będzie szukał po morzu? Więc płynęliśmy jako więźniowie na hiszpańskim okręcie. Latwo się domyślić, jak się z nami obchodzono. Zamknęli nas do ciasnej komórki jak śledzie w beczce. Upał był taki, że się zdawało, iż musimy się spalić. Przez pierwsze dwa dni nie nam jeść nie dano. Pić się chciało okropnie, a tu wody nie było. Posłali na ląd po słodką wodę, a gdy ta przyszła, dawano nam kwartę w dzień, a pół kwarty pod wieczór. Trzeciego dnia dopiero dostaliśmy po kawałku chleba i trochę ryżu z sztokfiszem.

Pamiętam, że takie mnie paliło pragnienie, iż jednej nocy, nie mogąc zasnąć, szukałem chłodnego miejsca, żeby przynajmniej rękę ostudzić. Wylazłem na pokład z naszego ogniostego pieca, potem namacałem beczkę z wodą, wyjąłem szpunt i przyłożyłem usta do picia. Ach, piłem i piłem — a żaden miód na świecie nie mógł być słodszy i miłszy od tej wody! Mnie się zdało, że całą beczkę wypiję — i kto wie czybym nie był wypił, 'gdyby nie strażnik, który to posłyszał i tak mnie palnął po grzbiecie, że na złamanie karku do naszej komórki zleciałem. Bolały mnie kości, ale cóż to szkodziło, kiedym się tak uraczył jak nigdy w życiu.

Dziewięć dni i dziewięć nocy płynęliśmy do Alikanty. Tam nas trzymano dwanaście dni w jakimś magazynie. Za całą żywność dawali nam monetę realem zwaną, niby czwartą część franka — i za taki pieniążek trzeba się było żywić. Szczęście, że tam śledzie tanie, bo za pół grosza można było dostać trzy ogro-

mne śledziska. My prawie śledziami żyli. Pić się chciało, ale o wodę nie było trudno.

Wolno nam było chodzić po mieście i widzieliśmy ciekawe rzeczy. Między innymi osobliwościami mnóstwo Turków, z którymi na żaden sposób nie mogliśmy się rozmówić... Zresztą, dużo tam było wojska, dużo Anglików i przeróżnego narodu. W mieście też obfitość wielka wszystkiego. Widziałem masy sztokfisu i ryżu, które na placach stogami leżały. Kto miał pieniądze mógł się najęść, ale my tylko patrzali na owe dostatki, ślinkę polykając.

W Alikancie był gubernator angielski i przeszło sześćdziesiąt okrętów, co oni flotą nazywali. Temu nas oddano. On kazał nas ubrać w nowe koszule i wyliczyć każdemu po talarze.

Tego samego jeszcze dnia wegnali nas na okręty i powieźli do Gibraltaru. Tu przybywszy nie dali nam wysiąść, lecz przez dwa tygodnie na morzu nas trzymali, dość daleko od brzegów. Potem nabraliśmy słodkiej wody i zawieszono nam łózka na powietrzu. Były to jakby worki jakie, do których gdy człowiek

włazi, dyndał się jakby w kolebce — co nas bawiło, bo nieraz jeden o drugiego zawadził. Gdy nam było gorąco, tośmy wychodzili na pokład i tamśmy nocowali.

Z Gibraltaru płynęliśmy ciągle do samego Potsmut*), gdzieśmy wylądowali. Tu nam dali Anglicy kurtki, spodnie i koszule płócienne, a gdy nas tak ubrali, dopierośmy wysiedli.

Po dwu tygodniach pobytu w Anglii, zaprowadzono nas do Humerland**), jednej forteczki nad morzem. Tu nam dano mydła, każdy się musiał pięknie wykapać i wygolić poczem dopiero osadzono nas w koszarach. Dawali nam dziennie pół funta mięsa, funt chleba i dziewięć pensów, niby trojaków.

Wzięto nas potem do Lamenton***), gdzie był główny skład angielski. Tu rewidowano wszystkich, mierzono i kompletowano pułki. Rzecz dziwna, że żadnego Francuza nie zabrali

*) Portsmouth.

**) Cumberland.

***) Lymington.

z nami do Anglii — dowiedziałem się później, że wszystkich odsyłano na wyspę Majorkę. Nas Polaków koniecznie naglono do angielskiej służby. Wielu przyjęło tę służbę, lecz ja i kilku innych nie chcieliśmy tego. Więc nas oddzielono jako inwalidów — tylkośmy przed koszarami wartę trzymali. Ztąd posłano nas do Arycza*), nad morzem, gdzieśmy także dwa tygodnie stali, trzymając warty i stawając rano i wieczór do apelu. Zresztą obchodzono się z nami po ludzku, bardzo grzecznie. Wszystko robili, żeby nas zwerbować — chcieli nas nawet pożenić, byleśmy tylko zostali.

Z Arycza wodzono nas po różnych miastach, aż do Londynu, gdzieśmy odbyli dwa noclegi na przedmieściu. Wojska angielskiego mnóstwo widziałem, wszystko czerwone jak raki — prócz huzarów, którzy do naszych byli podobni.

Ledwieśmy w stolicy odpoczęli, znowu nas powsadzano na okręt i wieziono do wyspy Ś^{te}j Heleny.

W tej długiej i dalekiej podróży dużośmy

*) Harwich.

Przygody.



ucierpieli. Morze nieraz okropnie się burzyło. Morska choroba bardzo nas nękała. Niebo i woda — tęskno i nudno — przepaści rozwarte — trwogi i niebezpieczeństwa — zdawało się, że nigdy nie zapłyniemy, tylko tak będziemy bując po głębokich topielach do końca świata. Com się wtedy naziewał, toby nikt nie uwierzył — myślałem, że mi się gęba rozedrze. Na nogach ledwiem się trzymał, tak się okręciśko chwiała jak pijane. O ziemi ani słycho — bałem się, czy nie zapomnę chodzić. Już to co ciepła, to aż nadto użyłem, bo dalibóg w piecu od chleba nie może być gorącej. Przybyliśmy nareszcie.

Wyspa Ś^{tej} Heleny jest jakby z kamienia zrobiona, a ten kamień bielutki. Jest tam porządne miasteczko, piękne też kościoły, w który słyszałem śliczną muzykę i spiewanie. Osadzono nas w koszarach i nie dano wychodzić. Używali nas potem do różnych robót. Fala była przypędziła dwa jakieś okręty, na których pełno było towarów. Jak tylko morze opadło, co dwa razy na dzień bywało, zaraz nas komenderowano i musieliśmy odkopywać

one okręty, bo w piasku były ugrzęzły. Dostaliśmy je nareszcie i do samego brzegu przywiedli. Miewaliśmy też inną robotę. Rąbano i ciosano kamienie z góry, te potem musieliśmy znieść do komendanta, lecz za to dobrze nam płacili, bo po dwa szylingi.

Po kilku niedzielach, kazał nas komendant zawołać i pytał, czy chcemy służyć w Indyach? My powiedzieliśmy otwarcie, że tego na żaden sposób nie chcemy, że prosimy o litość nad naszym losem, że będąc Polakami, radzi- byśmy wrócić do ojczyzny. Komendant, ujęty naszym dobrem zachowaniem się, a bardziej widząc nasze łzy i tęsknotę, wzruszył się litością. Wkrótce kazał przygotować okręt, zaopatrzyć we wszelką żywność, i wyprawił nas z powrotem do Hanowru. Każdy z nas miał pisane świadectwo i paszport do tego miejsca, z kąd był rodem.

Podróż nasza, lubo nie bez trudu i kłopotu, odbyła się szczęśliwie. Wysiedliśmy na ląd we Frisland, gdzie się znajdowali Francuzi. Ci odebrali nam paszporta, kazali sobie oddać wszystko cośmy od Anglików nabyli, a zło-

zywszy na kupę zapalili, mówiąc, że oni nie z obcego kraju nie potrzebują. Co za racya jak gdyby nam nie było potrzebne bez czego oni się obejdą! Potem zagnali nas na nocleg do pustej stodoly. Tu, będąc lekko ubrani i zmoczeni przy wysiadaniu z okrętu, tęgośmy zębami dzwonili, bo trzeba wiedzieć, że z ciepłych krajów wjechaliśmy nagle do zimy — śnieg po kostki leżał na ziemi. Głód i zimno strasznie nam dokuczały. — Ztąd pędzono nas do Amsterdamu, stolicy holenderskiej. Nie chcieli nam wierzyć, że wracamy z wyspy Ś^{tej} Heleny. Owszem, posądzali nas, żeśmy w Hiszpanji do Anglików uciekli — słowem, bardzo nas trapili. W Amsterdamie siedzieliśmy dwa tygodnie zamknięci. Nie dosyć było biedy od cudzych, trzeba nam było jeszcze cierpieć od swoich — aleć to tak często, bywa na świecie! W końcu zawołano nas przed jakiegoś generała, który nas badał. Musieliśmy opowiedzieć wszystko jak było. Dopiero się przekonali, gdy pisano do pułku, żeśmy nie dezertrowie.

W tym czasie wracały niektóre pułki z Hiszpanji do Francji, więc nas także wyprawiono do Burdo, gdzie nas znowu ubrano i odesłano do swoich kompanji.

Wtedy się wszystko ruszyło hurmem ku Rossji. Ja z moimi szedłem na Berlin i Szczecin do Królewca, ztąd zaś prosto do Litwy. Pod Smoleńskiem dopiero trzepaliśmy się doskonale. Dużo tam Polaków zginęło, z tych zwłaszcza, co pierwiej przed nami zdążyli. My, cośmy przybyli z Hiszpanji, nie byliśmy pod polską lecz zawsze pod francuzką komendą. W ogólności Francuzi zawsze nas dzielili — kiedy nacierać, to zawsze naprzód, a kiedy zmykać, to nas w tyle zostawiano. Smoleńsk szturmem zdobyty. Tu zabawiliśmy trzy tygodnie.

Posunęliśmy się o siedem mil, i pod miasteczkiem Szcześniki, które drewniane jak prawie większa część miast moskiewskich, zaszła znów bitwa. Moskale zrejterowali, a my dalej za nimi. Zaszła znów bitwa, ale tak straszna, że okropniejszej w życiu nie widziałem. Moskale stali jak mur — długośmy im

nie zrobić nie mogli. Dopiero poszedłszy na bagnety, ten mur musiał pęknąć i nastąpiła rzeź straszliwa. Włosy na głowie powstają, gdy wspomnę, co tam trupa leżało. Krew się lała strugami, a taka była okropność, żem ja oczy przymrużał pchając bagnetem. Mnie się zdaje, że Moskale musieli być popici, bo niepodobna, aby się tak łatwo potem dali zarżnąć i mordować. Dosyć, żeśmy ogromne stosy trupów powalili na ziemię. Nasi Polacy poszli potem z drugimi pod Moskwę, a nasz korpus został w tyle na obserwacji, nad bagnami nieprzejrzany, pod miasteczkiem Sianno.

Po jednej bitwie — podobno pod Krasnem bo dobrze nie pamiętam — wielkie mi groziło niebezpieczeństwo.

Gdy się bitwa skończyła, starszyzna rozpałała ogromny ogień jak chałupę i usiadła przy nim, a nam wołyżerom kazała spieszyć na pobojuwisko, by pozbierać wszystkich rannych bez różnicy.

My tedy ruszamy na plac boju — zbieramy każdego co jeszcze przy życiu, a potem nawracamy ku swoim.

Moi towarzysze już byli w pochodzie, kiedy ja trąciłem nogą o ciało jakiegoś moskiewskiego oficera, co leżał w płaszcz obwinięty.

Jakieś mnie lichy skusiło, żem rozpiął mundur na nieboszczyku i zajrzałem do jego kieszeni. Było tam czternaście talarów i zegarek złoty. Ja jeszcze szukam, a nic innego nie znalazłszy, chowam pieniądze i zegarek.

Właśnie wstawałem z ziemi, by spieszyć do naszych, gdy oto nagle jakby z pod ziemi wyskakuje dwóch moskiewskich huzarów, i dalejże na mnie! Miałem jeszcze czas obejrzeć się — patrzę, a tu nasze wołyżery daleko — choćbym wołał, to mnie nie usłyszą — więc trzymam sztucer przed sobą, i cofam się po mału.

Wnet mnie huzary opadły — palnęli z karabinków, lecz tylko kule koło mnie świsnęły. Dobyli pałaszy i skaczą z końmi, żeby mnie rąbnąć. Ja zaś tylko grozę sztucerką a umykam co mogę — widząc atoli, że huzary na

dobrze chcąc rąbać, krzyknąłem ze wszystkich sił moich. Konie na bok odskoczyły, a nasi, głos mój usłyszawszy, zaraz na pomoc wracali — starszyzna zaś zdaleka patrzała. Ja tedy słysząc że nasi idą, nabrałem odwagi, i kiedy jeden huzar na mnie się zamachnął, palnąłem ze sztucera prosto w piersi i zwałiłem go z konia. Drugi huzar przyskoczył — ja za bagnet — osadziłem się ostro i chciałem go bodnąć, lecz samego tylko konia w pierś ranilem, aż się bagnet zagiął. Tymczasem huzar jak mnie płał przez lewą rękę, to mi aż żył naruszył i odciął jeden palec. Już się powtórnie zamierzył i byłby mi pewno głowę rozplątał, gdyby go przecie jeden z naszych nie był powalił na ziemię.

Tak tedy, dla głupiej ciekawości, narobiłem sobie niepotrzebnego bigosu. Złowiłem kilka talarów i zegarek, ale palca pozbyłem, który pod żadną maścią nie odrośnie. To tylko szczęście, że rana, chociaż bolesna, dość prędko się zagoiła.

Prawdę powiedziawszy, miałem strach wielki, czy mnie jeszcze nie ukarzą, zem się za-

bałamucił w powrocie. Szedłem z drugimi do starszyzny bardzo skłopotany. Koledzy ściskali mnie serdecznie i wieszowali wygranej. Ja jednak nie pisałem ani słowa. Gdyśmy stanęli u ogniska, dopierom się uspokoił, gdy Francuzi zawołali: brawo, brawo, woltżyer! Śmiali się wszyscy i żartowali. Ja wprawdzie nie miałem do śmiechu i żartów ochoty, ale tyle przynajmniej zyskałem, że drudzy jakoś mnie więcej odtąd poważali.

Stojąc pod Siannem, usłyszeliśmy pogłoskę o spaleniu Moskwy — ale kto spalił, tegośmy nie wiedzieli — chyba nasi oficerowie, którzy jednak ani słówka nie rzekli. Nie długo potem nie małośmy się zdziwili, widząc że urwki armji ciągną napowrót — kirasery i dragony jako ciężka jazda najpierwej — potem różni, ale bez ładu i składu.

Takich maroderów i kaleków, z pomarzęmi nogami, wlażło dużo do miasta. Nasz generał Żyro kazał nam wszystkich wyganiać. To nas zasmuciło, że swój miał teraz bić swego

— zaczęliśmy się trwożyć i przeczuwać, że źle być musi i że gorzej będzie — ale usłuchaliśmy rozkazu i maroderów wyparliśmy miasta.

Niedługo potem, na zmarzłych błotach pokazali się Kozacy. Oj, przykre to było zjawisko! Kazali na nich uderzyć, my też uderzyli i odegnali. Potem, patrzyliśmy jak Francuzi nazad ciągnęli. My, zostawszy do ostatka, ruszyliśmy nareszcie — ucierając się ciągle z Kozakami, którzy kwicząc wciąż napadali i kwicząc uciekali.

Przyszliśmy potem nad rzekę Berezynę, gdzie most był popsuty a któren nasi znów budowali, wiążąc ze sobą łodzie, a na to kładąc najpiękniejsze jodły i świerki. Tu biliśmy się przez dwa dni. Od rzeki ku rzece ciągle były gonitwy naprzemian. Co tam zginęło ludzi i koni, to trudno obliczyć. Mnóstwo rzeczy marnowano, nawet pieniądze leżały kupami — a nikomu na myśl nie przyszło żeby brać, bo każdy z życiem tylko uciekał. Rzeka, po bokach zamarzła, samym środkiem płynęła. Kto tam wpadł lub wjechał, nie mógł się dla

łodów wydobyć. Widziałem mnóstwo koni z tłumokami na środku rzeki — jeźdźcy z nich pospadali — biedne końska kwiczały okropnie. Nad tą wodą zostałem ranny w nogę, która mi spuchła, ale mógł jeszcze chodzić i bić się. Drugiego dnia, nad wieczorem, przelazłem na drugą stronę przez owe mościsko. I szczęście dla mnie, bo nazajutrz już most był zerwany.

Uszedłszy z milę od Berezyny, zbieraliśmy się pod jakimś borem, gdzie sam Napoleon rewidował pułki. Widziałem go przedtem wiele razy, ale nigdy jak teraz — i zawsze go tak widzę, to jest, miał szarą kapotę z rozporcem w tyle, a na głowie lisiatą czapkę.

Odtąd rejterowaliśmy ciągle, oganiając się napaści. Od Rygi zabiegli nam Moskale w jednym miejscu gdzie był bór, z boku zaś błota, przez które szła grobla. Dobrześmy się oparli i odegnali nieprzyjaciela.

Rozłożyliśmy się na nocleg za borem. Śnieg był głęboki, tak, żeśmy ledwie ogień roznie-

cili. Co to była za noc straszliwa! Zimno — a tu grzej się na roztopionym śniegu! A co to będzie jutro? Taż sama nęcza, tylko może więcej napastników. Moja noga zaogniła się i nabrzmiała okrutnie. Płakałem z bólu, ale się zdało, że i lzy moje marzną. Nie było się komu poskarżyć, bo każdy prawie sam płakał i narzekał. Ludzie, w tem srogiem nieszczęściu, byli bez czułości jedni dla drugich. Każdy tylko myślał o sobie, a co gorsza, nie cenił życia jak torby sieczki. Jednakże, trafiała się czasem i litość, zkąd jej się nawet człowiek nie spodziewał.

Razu jednego przyszliśmy do jednej wsi, gdzie już było wiele Francuzów. Nas Polaków było czternastu. Nie mogąc nigdzie znaleźć miejsca i przytułku, udaliśmy się za wieś na pole, zkąd widać było blizki las olszowy. Tu rozłożeni, myśleliśmy jakby się ogrzać i posilić. Więc kilku poszło płót rozebrać, a mnie posłano do wsi, czy czego nie złowię. Chodzę i szukam napróżno, bo wszystko Francuzi wyjedli. Jużem wracał markotny, aż oto spostrzegam na jednym podwórku kaczkę

w kąciku. Dalejże po nią — złapałem i niosę do swoich, którzy tymczasem ogień na śniegu rozpalili.

Oskubawszy oną kaczkę, wsadziłem do garka i przystawiłem do ognia. Patrzymy na garnek i połykamy ślinkę, głośno rozmawiając aż tu przybywa od boru dwóch Kozaków, którzy zbliżają się do nas i mówią:

«Wyście Polacy?»

— Tak jest, Polacy!

«No, to paszoł prędko, bo wnet Kozaki tu wpadną!»

Ich mowa tak była szczerą, że widział iż prawdę mówią, więc pobiegłem do wsi i ostrzegłem starszyznę. Wyśmiali mnie tylko.

Ledwiem wrócił do swoich, aż tu istotnie od boru wypada chmara Kozaków. Porwali się wszyscy — ja łap za kaczkę niedogotowaną — i dalejże do wsi. Francuzi, widząc że to nie żarty, zaczęli się bronić, ale że byli nieprzygotowani, więc mocno ich Kozacy przetrzepali. My czternastu, nie zdążywszy do kompanji, staliśmy na ustroniu. Kozacy obok nas przelecieli, potem kilka razy

nas mijali, a żaden z nich nawet nas nie tknął. Widać, że nam wcale szkodzić nie chcieli choć mogli. Niech im to Pan Bóg nagrodzi, bo inaczej bylibyśmy marnie zginęli — tak bowiem byliśmy słabi i znużeni, żeby nas palcem był wyrócić. Przez cały czas kaczki nie puściłem, i dopiero gdy wszystko ucichło, zjedliśmy po kawałku.

Raz w marszu, osłabiony i przeziębły, zostałem trochę w tyle. Idę, idę jak mogę, i przyszedłem do jakiegoś boru.

Jak zwykle tak i teraz czułem głód i zimno. Patrę, a tu nie daleko od drogi, na gołaźni między drzewami, widać resztki ognia. Tuż przy ognisku siedzi na śniegu dwóch obwiniętych Francuzów.

Zbliżam się do nich i mówię: «Pozwólcie, kamraci, niech się trochę ugrzeję!»

Oni nie odpowiadają. Ja, zupełnie się zbliżywszy, trącam jednego po ramieniu, a ten się wywraca skostniały. Patrę, a tu i drugi

martwy. Ach, oni pomarli nim ogień wygaś, bo się jeszcze trochę dymilo.

Gorzko westchnąłem nad losem tych nieszczęśliwych, zmówiłem pacierz na odpoczynek ich duszom, i poszedłem dalej.

Później spotykałem jeszcze pojedynczo zmarłych ludzi, ale to już takiego na mnie nie robiło wrażenia. To zwyczajna człowiekowi, że się oswaja z nieszczęściem, żyje z niem za panie brat, i w końcu nic sobie z niego nie robi!

Ciągle się ucierając, doszliśmy do Wilna. Tu jeden nocleg — na drugi dzień ruszyliśmy dalej. Ja włókłem się z moją nogą jak mogłem.

Z drugiej strony Wilna, przez wzgląd na chorą nogę, pozwolono mi iść zawsze naprzód. Szedłem tedy z drugimi inwalidami, aż oto w tyle wpadli Moskale na naszą konnicę. Ja nie należałem do tej bitwy.

Uchodząc przed nieprzyjacielem, spotkaliśmy furgon francuzki z pieniędzmi. Oficer, stojący

na furgonie, z obawy żeby go Moskale nie zabrali — a nie mógł uciec bo konie były zbyt słabe — wołał na nas, żebyśmy brali co kto może. Wszyscy się rzucili na furgon i brali pełnemi garściami. Ja, nie mogąc się docisnąć, stałem sobie na boku. Widziałem jak całe wory wywłóczono, a w nich samo złoto prześliczne. Wtedy niejeden się porządnie obłowił. Nie czekając końca, szedłem naprzód, dla zyskania czasu.

Od tej chwili, rozłączony z kompanią, najwięcej włókłem się samotnie. Na trzy dni od Wilna, przybyłem, pod jedną górę. Stałem by odetchnąć — po bokach drogi ogromne zasy śniegu, a sama droga czarna i gładko utorowana, bo mnóstwo ludzi, koni, armat, furgonów ciągnęło tą drogą. Lecz sanki za sankami, a w nich pełno rannych — jedni mniej drudzy więcej odemnie.

Kiedy tak patrzę i odpoczywam, słyszę krzyk nagły za górą. Kozacy wpadli na naszych i pędzą ich nazad. Widzę tedy, jak wszyscy walą się hurmem, a Kozacy biją bez miłosierdzia. Nie wiedząc co począć, buchną-

łem w kupę śniegu pod górą i leżę zagrzebany. Takem strętwiał, że się ruszyć nie mógł.

Ku wieczorowi, gdy wrzawa ucichła, podnoszę się z trudnością. Otrzeпаłem zmarzły śnieg z siebie i wlażę na górę. Już się ciemno zrobiło. Wszędzie pusto — dokąd się tu udać? Kiedy stoję skłopotany, słyszę psów szczekanie. Zebrałem resztę sił moich i idę za onym psim głosem.

Wkrótce ujrzałem jakieś migające światełko. Idę tedy i przychodzę nareszcie do dwóch chałup na pustkowiu.

W izbie zastałem dwóch chłopów i dwie kobiety. Proszę na miłosierdzie boskie, aby mi dali na noc przytułek. Chłopi odpowiadają, że tego zrobić nie mogą, bo lada chwila spodziewają się Kozaków, którzy tu dla siebie zamówili wieczerzę. Proszę i błagam — ale mnie jakoś nie rozumieli, bo ich język trochę odmienny od naszego.

Rad nie rad, wychodzę do drugiej chałupy, próbować szczęścia — lecz jeszcze za płot nie przelazł, gdy jedna z kobiet woła, bym

się wrócił. Ja też, zamiast szukać gdzieindziej, wolałem się wrócić.

Podziękowałem kobiecie za dobre serce, i rzekłem: «Lubom ja głodny i spragniony, nie chcę waszej szkody, żebyście mi pić lub jeść dali — tylko proszę o mały kącik, gdziebym wypoczął do rana!»

Siadłem sobie na ławie i zaczęto mnie pytać o różne rzeczy, ale nam jakoś nie szła rozmowa. Posłano tedy po arendarza do pobliskiej karczmy, która dopiero nazajutrz ujrzałem. Przybył arendarz i gdy zaspokoił ciekawość moich gospodarzy, odezwał się do mnie:

«Jeżeli masz pieniądze moskiewskie, to możesz tu wymienić, bo dalej nikt ich nie przyjmie!»

Ja miałem wprawdzie w tornistrze do pięćdziesiąt talarów i złoty zegarek, ale odrzekłem:

— Nie mam grosza przy duszy, bom taki słaby, że ledwo sam siebie dźwigać potrafię!

By jednak żyda zaspokoić, sięgnąłem do kieszeni w płaszczu i dobyłem kłębek czerwono-

nego jedwabiu, com był znalazł na drodze. Oddając ten kłębek, rzekłem:

— Oto jest wszystko, co posiadam!

Żyd ofiarował mi dwa złote, lecz ja na to:

— Co mi po pieniądzach, daj to lepiej gospodarzom, niech się trochę uraczą!

Jeden z chłopów wziął one dwa złote i powrócił z żydem do karczmy. Niezadługo powrócił przynosząc flachę gorzałki. Pili wszyscy i mnie częstowali, lecz ja ani kropelki! Zaraz też przyniesiono mi słomy, a jedna z kobiet zrobiła mi ciepłą polewkę z mleka.

Ległem na onej słomie kładąc tornister pod głowę, trochę niespokojny, czy rana doczekam. Żyd i Kozacy ciągle mi stali na myśli. Pierwszy mógł nie wierzyć moim słowom i wydrzeć mi życie z moją chudobą, a Kozacy mogli wpaść lada chwila i uśmiercić biedaka. Cóż jednak było robić? Westchnąłem do Boga, i zmówiwszy pacierz, zasnąłem twardo jak kamień.

Na świtanie zbudził mnie gospodarz. Dano mi znowu ciepłe śniadanie, i nalegano, żebym się wynosił coprędzej. Ja więc spiesźnie za-

rzuciłem tornister na plecy i ruszyłem w dalszą drogę.

Pocziwy gospodarz odprowadził mnie za karczmę, na utorowany gościniec, poczem mnie pożegnał, mówiąc: «Idź teraz prosto a nie zbłądzisz!»

Szedłem więc dalej — i uszedłszy mileczkę, usiadłem na śniegu. Zdejmuję tornister i patrzę — pas był cały lecz rzemyki od mantelzaka poprzecinane! Łzy mi się w oczach zakręciły i pomyślałem sobie: Mój Boże, wartoż było włóczyć ten ciężar ze sobą, żeby mnie tu skradli nareszcie! — Zaglądam do tornistra. Wszystko poprzewracane — dwie pary trzewików i trochę bielizny zostało — widać, że tego nie chcieli. Lecz pieniądze i zegarek pewno zabrali? Nie wątpiłem o tem — a jednak patrząc lepiej, znalazłem takowe na samym spodzie. Rzecz dziwna, że ich nie znaleźli! Ten szczęśliwy wypadek dodał mi otuchy i ochoty. Wysławiając Boską Opatrzność, ruszyłem z miejsca do dalszego pochodu.

Blisko granicy litewskiej połączyłem się

z naszą kompanią. Już nie Zdzitowiecki lecz niejaki Swierczakiewicz był kapitanem. Razem doszliśmy aż do Kwidzyna, nigdzie nie zaczepieni. Ztąd pocziwy kapitan, widząc że bardzo kuleję na nogę, zabrał mnie ze sobą do Poznania, dokąd i cała kompania pospieszyła za nami.

Z Poznania udaliśmy się do Kistrzyna. Po drodze pełno już było Moskali, z którymi się pod Międzyrzeczem nasi ułani ucierali. My kręciliśmy się wszędzie. Do Berlina i Poczdamu nie chcieli nas wpuścić — jużesmy nawet w Poczdamie armaty wytoczyli by walić do miasta, lecz jakoś dano temu pokój.

Potem zamknęliśmy się w Spandau, a mogło nas być cztery tysiące. Tu nas Moskale i Prusacy dobywali. Spalili trzy części miasta i rozbili cytadelę, w której się prochy zapaliły i mnóstwo żołnierzy zginęło.

Widząc, że się utrzymać nie możemy, podaliśmy się nareszcie, złożywszy wszystkie ładunki — lecz wyszliśmy z bronią, pod kon-

wojem ułanów moskiewskich, konopolscy zwanych, a pruska piechota o jeden marsz postępowała za nami.

Przyszliśmy do Braunschweig, gdzie było czternaście tysięcy Francuzów. Konwój moskiewski się cofnął, a my dziewięć dni odpocząwszy, dążyliśmy do Hassy Kassel. Ztąd do Erfurtu, gdzie mnie dopiero doktor francuzki na moją nogę wygoił. Już tak było źle zemną, że mi ją upiłować chcieli.

Pod Witybergiem nad Elbą, należałem do bitwy. Takeśmy już byli słabi, że z naszych trzech pułków *) zrobiono tylko pułk jeden. Moskale i Prusacy mieli piękny obóz, nawet się okopali od strony miasta. My jednak w nocy na nich uderzyli. Takeśmy wpadli niespodzianie, że brano oficerów w koszulach, którzy klęcząc wołali pardonu.

Zrobił się popłoch. Wszystko zmykało co żywo. Noc była ciemna — wtedy się tylko rozjaśniło gdy ognia dawano — tak gnaliśmy ich da rana.

*) Czwarty, siódmy i dziewiąty.

Gdy dzień zaświtał, dopiero spostrzegli, że nas ledwie garstka w porównaniu z ich siłą. Dalejże tedy na nasze kark! Na górze za borem, w pięknej pozycyi, mieli zatoczone armaty. Jak więc zaczęła grzmocić i prażyć, a potem jak natrą — to aż skóra dziś cierpnie na człowieku. Radzi nie radzi musieliśmy się cofać, ciągle się broniąc. Dopiero gdyśmy przyszli ku naszemu obozowi, oni zaniechali ścigania, a my połączeni odpoczęliśmy dni kilka.

Odtąd, na różnych miejscach, bywały utarczki przez kilka niedziel, aż nareszcie zwaliliśmy się wszyscy pod Lipsk.

Pod Lipskiem taka była batalia, jakiej może świat nie pamięta. Co tam było różnego narodu, to ciężko wypowiedzieć. Taki zaś był huk, że wszystko drżało i wszystko się trzęsło.

Pierwszego dnia biliśmy się zajadle. Już mogło być dobrze po południu, gdy nam wolyżerom kazano uderzyć na flankierów moskiewskich.

Był w pobliżu lasek olszowy i rów głęboki, po części wodą napelniony — a pół staja za

rowem stały dwie armaty. Z lasu i z rowu, kędy się osadziły jegry moskiewskie, okropnie nas prażyli, a one armaty bardzo nam szkodziły. My przeto odebraliśmy rozkaz, aby ich ztamtąd wyparować.

Jakoż, ruszyły nasze dwie kompanie. Po zaciętej utarczce wyparliśmy z rowu Moskali, nabrawszy ich niemało. Poczem sami zajęliśmy tę pozycyą, i kiedy siedzimy w rowie, aż oto błysk od strony armat — my głowy na dół — kule bez szkody nad nami przeleciały. Nim powtórnie nabili, dopieroż my na armaty! Jak zacniem rąbać kanonierów i oddział przy nich będący — wnet się poddać musieli.

My więc uradowani chcemy te armaty odprrowadzić do naszych. Ale jak? Do samego Lipska, gdzie byli Sasi i Francuzi, niepodobna dla onego rowu, co nas odgradzał od miasta. Aleć w bok Lipska stała wieś duża — więc nas sttu wzięło armaty i dalejże tam z niemi.

Nie wiedzieliśmy, że w tej wsi było właśnie trzy tysiące pruskiej piechoty. Jużesmy pod wieś dochodzili, aż tu wypadają Prusacy. Porzuciliśmy armaty, mąsłąc jedynie o ratunku

zycia. Jakoż, nie tracąc serca, odcinaliśmy się przykładnie, a oni nas parli ku naszym — do onego rowu. Tu o małym nie zginął. Skoczywszy do rowu, chwytam za sztucer — a tu jeden huzar stoi nademną i pali do mnie jakby do psa, o dwa kroki. Chciał mnie trafić w głowę, lecz kula urwała mi tylko kawałek ucha. Ja, choć ogłuszony i krwią zlany, palnąłem ze sztucera i zabiłem szwernota. Jeszczem dwóch innych zgładził, ratując sam siebie — i dopiero gdy się zciemniać zaczęło, wylazłem z rowu.

Już tylko gdzieniegdzie słyhać było strzelanie — obok mnie więcej było umarłych jak żywych. Prawie ogłuszony, czułem okropne rwanie i szum w głowie. Idę tedy, ale sam nie wiem dokąd. Udałem się jednak do Lipska gdzie przybywszy, zastałem na placach pod gołem niebem tysiące rannych i kaleków. Usiadłem przy nich, drząc od bólu i zimna. Około północy, felczer opatrzył mi ranę i obwiązał głowę.

Na drugi dzień wczesnie już wrzała bitwa. Z jednej strony książę Józef walczył — dalej,

na różnych punktach, Francuzi. Mnie kazano roznosić ładunki, lecz mi się to wkrótce przykrzyło — wolałem bić się w szeregiach, osobliwie, że będąc teraz głuchy na jedno ucho, nie słyszałem zbyt wielkiego huków.

Przed wieczorem, nie wiem która mogła być godzina, mosty pozrywano i Francuzi rejtrować poczęli. Oparliśmy się o pół mili, z drugiej strony Lipska, pod wodnemi młynami. Zaczęto właśnie obliczać nasze straty, gdy nagle odebraliśmy wiadomość, że książę Józef utonął. My biedni Polacy spuściliśmy głowy — każdy płakał i żałował tak dobrego wodza. «Oj źle — mówiliśmy sobie — kiedy już tacy giną!» Francuzi jeszcze nie tracili nadziei, lecz my wzdychali, mówiąc: «Mój Boże, cóż to z nami będzie?»

Ciągle rejterując i odpierając napaści, przyszlismy do Frankfurtu, później do Mainz, następnie nad rzekę Ren.

Najpierwej się gwardye napoleońskie przypawily, za niemi armaty i bryki, a my zdą-

zali do wody jak mogli. Wtem widzimy, że niektórzy od bryk pędzą ku nam przerażeni. Zrobił się popłoch szkaradny. My, uszykowani w kolumnę, staliśmy gotowi do boju. A tu z boku wypadają Moskale i Prusacy, a z przeciwnej strony Cesarska *) konnica. Wdzieliśmy i Szwedów. Tak obkoczeni biliśmy się z rozpaczą — póki sił i ładunków starczyło. Pod wieczór, już było niepodobna wytrzymać — dużo nas zginęło — reszta żądała pardonu. Tych, co zostali przy życiu, rozdzielono na trzy kupy. Jedną zabrali Moskale, drugą Prusacy, a trzecią Cesarscy. Ja należałem do tych ostatnich.

Ponieważ już wtedy było zimno, bo widzieliśmy białe szron i śliwki pod drzewami co same spadały — więc największą mieliśmy obawę, aby nas do naga nie obdarto.

Gdy nas przyprowadzili przed generała, padliśmy na kolana, błagając, żeby nas obdzierać nie kazał. On tam mruknął jakąś kłtwe pod nosem, a potem powiedział: «ist schon gut!»

*) austriacka.

Lipa

Odebrali nam chustki, fajki, zegarki i tym podobne rzeczy, ale nam przecie suknie zostawiono. Obmacali też nasze mundury jak strażnicy, szukając pieniędzy, a co u kogo znaleźli, to zabrali.

Noc spędziliśmy na dworze pod wsią. Leżeliśmy jak bydło, pod jakimś plotem z angrystu i ambarasu*), bom czuł kółce a widział rano czerwone jagody. Ileśmy uciepieli tej nocy od zimna, darmo opowiadać!

Nad ranem, wpędzili nas do jakiejś wielkiej izby ogrzanej. Żołnierze nieprzyjacielscy stali u drzwi na straży. Tu o małym nie zginął marnie. Dostawszy się do cieplej izby, taka mnie opadła niemoc, żem myślał iż skonam na miejscu. Więc, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, spieszę do drzwi, a tu żołnierz jak mnie uderzył bagnietem w piersi — zaraz padłem przez próg i zemdląłem. On myślał, że chcę uciekać. Szczęściem że bagniet sliźnął się po guzikach od mego munduru, inaczej byłby mnie przeszył.

Przyszedszy do siebie, czułem ból w pier-

*) Agrest i berberys.

siach i ujrzałem lekką ranę, która się potem snadno zagoiła. To mnie jednak najwięcej bolało, że uniknąwszy kul i gromów w tyłu bitwach, teraz jako więzień w taką dostałem się poniewierkę że mnie lada żołdak gburowaty popychał i szturchał.

Nie długo kazali nas transportować do cesarskich krajów. My, bojąc się o naszą odzież, prosiliśmy znów generała, aby nam był łaskaw dać marszrutę z wyraźnem poleceniem, żeby nas później nie obdarto. I dostaliśmy na piśmie, czegośmy pragnęli. Tak tedy ruszyliśmy do niewoli, ale dokąd nas poprowadzą, tegośmy wiedzieć nie mogli.

Pod mocną strażą przeszliśmy cały kraj Bayerski. Kto zna, jak gorzki chleb niewolnika, nie będzie się dziwił, że miłe zachowałem wspomnienie o tym kraju. Kilka razy się zdarzało, że gdyśmy przybyli głodni i strudzeni do jakiego miasta na nocleg, pytali nas niektórzy obywatele cośmy za jedni, a potem przychodzili do straży i brali nas na swoją odpowiedzialność do swoich domów. Tu człowiek dostał wybornego jada i picia, przespał

się wygodnie, i na chwilę zapominał o biedzie. Czasem dawali nam i parę groszy na drogę. Rano, znów wróceni straży, ruszaliśmy dalej pokrzepieni. Niechże Bóg miłosierny tym chrześcijańskim duszom ich uczynność nagrodzić raczy, jeżeli nie w tem to w przyszłym życiu! O Bajerach nie mogę tylko dobrze myśleć i mówić.

Dostaliśmy się do miasta czeskiego Jeger, które jest małą forteczką. Ztąd zaprowadzono nas do Pragi, gdzieśmy sześć dni i tyleż nocy bawili.

Mieszczono nas po różnych miejscach. Siemiu z nas, to jest czterech Polaków i trzech Litwinów, zamknięto w jakichś ogromnych stajniach za rzeką. Tuśmy się okropnie nudzili, siedząc prawie na gnoju i cierpiąc niedostatek wszelaki. Nikogośmy nie widywali, prócz jednego Niemczyka, który trochę kiepsko mówił po polsku, a który codzień przychodził lampy zapalać i gasić.

Ja raz odzywam się do niego z narzekaniem,

żeśmy tak bezczynni i nieszczęśliwi. A on mi na to:

«Kto ma Geld, może sobie pomagać!»

— A zkadże mieć pieniądze, rzekłem, kiedy wasi ze wszystkiego nas obdarli i tylko nam suknie zostawili?

To rzekłszy, poszedłem do moich kamratów, którzy nieco dalej na słomie leżeli.

Jeden mnie pyta: «Cóżes ty gadał z tym lampartem?»

Powiedziałem jak było, i przydałem, że nie rozumiem do czego to zmierza.

Jeden z naszych Litwinów rzekł: «Chce nas uwolnić, jeżeli zapłacimy; więc idź Jędrzeju i spytaj, ile on żąda?»

Ja na to: A zkadże weźniemy pieniędzy?

«O to nie pytaj — ja mam zaszyte w sukni, i za wszystkich zapłacę!»

Pobiegłem do lampiarza, który jeszcze nie odszedł, a raczej zdawał się czekać mego powrotu. Niemczyk żądał po trzy talary od każdego; takeśmy się więc ułożyli, że dostanie dwadzieścia jeden talarów, skoro nas oswobodzi.

Tej samej jeszcze nocy obiecał nas wypro-

wadzić. My czekaliśmy z niecierpliwością. Około dziesiątej przybył istotnie i zabrał nas z sobą. Najpierw otworzył jakieś drzwi w stajni, co się zdawały zamurowane — potem prowadził nas przez jakieś sklepienia i gmachy — aż nareszcie wyszliśmy pod gołe niebo.

— A dokąd teraz? pytamy.

On mówi: «Musicie najpierw do mego domu, gdzie zanocujecie, a jutro wezas dalszą wam drogę pokażę!»

Noc była ciemna — my, nie wiedząc co począć, usłuchaliśmy jego rady. Szliśmy przez długi most, na którym stała figura Ś^śo Jana Nepomucena, a minawszy wiele ulic i kątów, dostaliśmy się na ostatek do domu naszego przewodnika. Ten wprowadził nas do izby, kazał nagotować kapusty i kartofli, lecz pierwszej żądał od nas obiecaną zapłatę. Litwin wyliczył mu należytość, poczem zjadłszy wieszę, udaliśmy się na spoczynek — w nadziei jutrzejszego ratunku.

Nad ranem, budzę mego sąsiada i mówię: Coś nasz gospodarz zaspiał, bo dotąd nie przybywał!

Sąsiad przewrócił się na drugi bok i chrapi w najlepsze, lecz ja trochę nieufny i niespokojny, wstaję i chcę drzwi otworzyć. Proszę sobie wystawić moje niemiłe zdziwienie, gdy znalazł drzwi zaryglowane. Budzę kolegów i powiadam, żeśmy na rygiel zamknięci. Oni zaczynają badać coby to znaczyło, aż na to się zgodzili, iż pewnie gospodarz przez ostrożność nas zamknął; żeby nas przypadkiem nie odkryto.

Czekamy tedy nieco spokojniejsi. Już się dzień zrobił, na ulicach słychać hałas i turkot, a my czekamy i czekamy — gospodarza jak nie ma tak nie ma! Co tu robić? — Drzwi wysadzić lub wołać o pomoc niepodobna, bo takbyśmy się sami zdradzili. Więc radzi nie radzi musieliśmy czekać i siedzieć jak ptaszki w klatce.

Co ja miałem słuchać, to niech Pan Bóg broni! Wszyscy mi wyrzucali, że to moja sprawka, że licho mnie skusiło do tej ucieczki, że trzeba było nie słuchać zdrajcy. Ja, spuściwszy głowę, milczałem — bo cóż było

mówić? a zresztą, jestto rzecz ludzka w nie-szczęściu, żeby zawsze składać winę na kogoś.

Blizko południa skrzyknął zamek i drzwi się otwarły. Zrywamy się wszyscy jak oparzeni. We drzwiach spostrzegamy naszego lampiarza, a za drzwiami wartę. Nim który z nas zdołał głowę otworzyć, już lampiarz zawołał:

«Jesteście dezertery, i jako takich na policyi was zameldowałem!»

My dopiero na niego: a czy się to godzi, tak haniebnie zdradzać i łupić ludzi? Poczekaj, my zaraz powiemy, jakiś ty ptaszek!

On krzyknął na wartę i kazał nas wyprowadzić. Z wielką trwogą, co dalej z nami będzie, przyszliśmy znowu przed stajnie. Tu zastaliśmy jakiegoś oficera, który wyprawiał jeden z naszych oddziałów do Cieszyna. My więc padamy na kolana i prosimy, żeby się zlitował i pozwolił nam ciągnąć społem. Widać, że lampiarz miał strach okropny, bo sam prosił za nami. Oficer, jakaś poczciwa dusza, lubo się zrazu wzbraniał, jednak w końcu przystał na naszą prośbę. Tak tedy wyszli-

śmy z miasta, nader szczęśliwi, że nam tak uszło na sucho.

Według danej marszruty, szliśmy przez Morawy do Szląska, to jest, przez miasta Berno i Ołomuniec do Cieszyna.

W tym marszu dużośmy biedy użyli. Cesarscy srogo się obchodzili z nami. Raz tylko na dzień trochę nam zupy dawano, chleba i mięsa nigdy. Takeśmy też byli głodni, że w drodze braliśmy z pola główki surowej kapusty i ćwikły — gryźliśmy po trosze, by jeno głód zaspokoić.

Pamiętam jednakże, iż raz przecie w Morawach dobrzem się pożywił i uraczył.

Przyszliśmy do jednej wsi na nocleg. Zaprowadzono nas do jakiegoś majątnego gospodarza, bo miał rozległe i porządne budynki. Widać też było dostatek wszystkiego. Izba była wielka i dobrze ogrzana — my jednak, przyszedłszy ze zimna, nie chcieliśmy wejść nagle do gorąca, lecz usiedliśmy na ławce przed domem.

Było to w sam dzień Świętej Katarzyny.

Kiedy tak siedzim na dworze zmęczeni i głodni, tymczasem zmierzchać się zaczęło i w izbie światło zapalili.

Zbliżam się do okna i patrzę. Co za miły widok! . . . Na wielkim stole, na białych obrusach, zastawiono rozliczne jadlo i picie. Były tam różne ciasta i pieczenie, a we flaszkiach piwo i wino.

Polykałem ślinkę i oblizalem się kilka razy, ale chcąc uniknąć niepotrzebnej oskomy, wróciłem na ławkę do moich kolegów. Właśnie im powiadam com widział, gdy oto przybyło kilku sąsiadów czy przyjaciół, snać zaproszonych. Weszli do izby, a my jak siedzimy tak siedzimy zadumani.

Aliści wychodzi sama gospodyni, i mówi do mnie:

«Sem, panoczku, dziś święto mojej patronki — prosimy was wszystkich do kompanji!»

O anielska kobieto, pomyślałem sobie, tego nam dwa razy nie powiadaj!

Stanęliśmy wszyscy jakby do ataku, a po-dziękowawszy za łaskawe zaproszenie, wpakowaliśmy się do izby.

Trzeba było widzieć nasze miny i wesołe twarze! Każdy z nas ostrzył zęby, a wdzięcznie się uśmiechał i wesa pokręcał. Gospodarz pytał się z kąd jesteśmy, prezentował swoim gościom i posadził za stołem. Jedliśmy i pili do upadłego. Bawiliśmy się gracko do północy, bo każdy z nas miał co opowiadać, a przy dobrym apetycie jakoś i pamięć się odświeżyła i rozum zaostrzył.

Potem, gdy goście się rozeszli, nam przyniesiono słomy, a dobrze utraktowani spaliśmy wygodnie aż do rana.

Poczcivi Morawianie, niech im Pan Bóg we wszystkim błogosławi! — Są prawda zli ludzie na świecie, ale są też i dobrzy w każdym narodzie. Tego nieraz doświadczyłem w życiu, dla tego nigdy źle o ludziach nie trzymam.

Lu

Wśród różnej biedy a częstych urągani i pośmiewisk, dostaliśmy się do Cieszyna.

To nas najwięcej bolało, że głupcy drwili sobie z upadku Napoleona i ciągle nas z prze-

kąsem pytali: «No, głupie Polaki, gdzie teraz wasz bożek?»

Oj, myślałem sobie, jużeście widać zapomnieli, jak wam skórę garbował! Dziś jesteście wielkie zuchy, ale coby to było, gdyby się znowu pokazał?

Tak sobie myślałem cierpiąc niezasłużenie, ale cóż dziwnego, że na krzywe drzewo i kozy skaczą?

Z Cieszyna, gdzie właśnie był jarmark, transportowali nas na Podgórze, a zład do Krakowa.

W tem mieście był wtedy gubernatorem Platow, rossyjski czy kozacki generał. Nie bez obawy weszliśmy do miasta. Wyrwaliśmy się wprawdzie z pazurów niewoli, ale strach nam było, czyśmy nie wpadli z deszczu pod rynnę.

Stawieni przed generała i wyexaminowani, oddaliśmy nasze papiery. On kazał nam odejść i czekać — my też cztery dni czekali.

Tymczasem obchodzono się z nami po ludzku. Traktowali nas jako zasłużonych żołnierzy, co to znają zapach prochu i świst kul. Wyznaczyli nam wygodne mieszkania w ko-

szarach i dawali nam racye chleba i mięsa jak swoim.

Po czterech dniach wołają nas do gubernatora. Idziemy tedy ze strachem — co to będzie? Aż oto generał powiada: «Dzieci, wy pójdziecie do dom!» I to rzekłszy uprzejmie, oddał nam nowe marszruty. My podziękowaliśmy za łaskę i poszli — każdy w swoją stronę.

Przyznam się, że w pierwszej chwili osłupiałem zupełnie. To słówko do dom ciągle mi brzmiało w uszach. Nie wiedziałem, czy się mam cieszyć czy płakać, bo do obojga byłem gotowy. To jedno czułem wyraźnie, zem wolny — a przecież, chodząc po rynku i po ulicach Krakowa, choć nie spotkałem nikogo coby mnie nagabwał lub napastował, jednakże mi się zdawało, że ktoś z nabitą bronią wciąż za mną stoi, żebym nie uciekł.

Cieszyłem się z tej mojej wolności, lecz nazajutrz, żegnając moich kamratów, serce mi pękało od żalu.

— A więc, mówiłem sobie, więc wszystko się skończyło?.. A jaki smutny koniec — żal się Boże! Po tylu latach cierpień, niedoli i

poniewierki, widzieć się samotnym i opuszczonym na świecie, a jako żebrak i kaleka wracać do swoich — ach, to gorzko! Cóż ja pocznę nieszczęśliwy?

Tak mi było duszno i żałośnie, że ruszył niebawem do domu, dokąd mnie teraz ogromna tęsknota ciągnęła.

Z torbą na plecach i z kijem w rękę, zaszedłem do Częstochowy. Tu chciałem koniecznie widzieć cudowny obraz Matki Boskiej, żeby Jej podziękować za życie uratowane i za świętą Jej opiekę, której się zawsze i wszędzie poruczałem, służąc od pierwszej młodości pod chorągwią szkaplerza.

Mimo jednak szczerzej intencji, nie mogłem Matki Boskiej oglądać. Cały klasztor zajmowała załoga wojsk rosyjskich i nikogo wpuścić nie chciała. Ja wprawdzie miałem mój paszport, ale mi radzono, żebym się nie napierał, bo chociaż go pokażę, to Kozacy czytać nie umieją — i możeby mnie jeszcze sponiewierali.

Tak tedy musiałem zaniechać miłego nabo-

żeństwa i udałem się na nocleg do Starej Częstochowy.

Nazajutrz wczesnie, stanąwszy w otwartym polu, padłem na kolana i oddałem zdaleka pokłon Najświętszej Pannie, tej Królowej nieba i ziemi. Modliłem się gorąco, miękko mi było na sercu, i lży moje jak groch na ziemię kapaly.

Ach, bo też to śliczny ten Kościół Częstochowski! Wieża klasztorna, biała i wysoka, zdaje się dotykać niebios. A co tam skarbów i świętości, tego ludzie nie mogą dosyć wypowiedzieć. Tysiące tysięcy tam spieszą w swoich uciskach, a każdy wraca pocieszony, że oglądał to święte miejsce, tylą cudami wstawione.

I cóż mam jeszcze mówić? .. Oto, przez Odolanów zaszedłem do Kobyлина, a ztąd do Kołaczkowic, miejsca mego urodzenia. Już tylko matkę zastałem przy życiu. Padłem jej do nóg — ona mnie zaraz poznała i uściskała serdecznie. Płakaliśmy oboje, po części z radości, a po części z żalu, nad stratą ojca i rodzeństwa. Mnie to także korciło, że wracam z próżnymi rękoma, nie mogąc ani sobie ani

matce dopomódz. Ale cóż było robić? Żołnierz prędzej kalectwo niż majątek przynosi, a może sobie jeszcze wieszować, że z niejednej tarapaty wyszedł na sucho. Tak tedy, musiałem się pocieszyć. Że jednak żyć było trzeba, więc urządziłem się za parobka do Krzekotowic. Tam wkrótce ożeniłem się z dobrą kobietą, która po dziś dzień jest moją wierną towarzyszką. Później służyłem za rataja i polowego, z różnego pieca chleb jadając, aż narazcie, na stare moje lata, zostałem stróżem nocnym przy pałacu w Chocieszewicach.

Z łaski Boga mam uczciwy i spokojny kawałek chleba. Moi Państwo są bardzo dla mnie łaskawi. Nieraz mi podali rękę i pomogli wychować jednego ze synów na godnego człowieka. Nawet własne ich dziecko do chrztu trzymałem. Prawda, że czasem wyziębnę i nie dośpię — ale cóż to szkodzi nawykłemu do trudów żołnierzowi? Kiedy ja stanę, na rąjju oparty, to zda mi się, że jestem na placówce. Wśród cichej nocy, gdy patrzę na gwiazdy, które na tyłu miejscach widziałem, różne w pamięci mojej snują się obrazy. Lecz

każdy nawet szum wiatru, każda burza z grzmotem i błyskawicą, każda śnieżna zawieja, każda łuna pożaru — zgoła, wszelkie zmiany powietrza i zdarzenia niespodziane, budzą wemnie dawne wspomnienia, i mówię sobie: wtedy tak było, potem tak było, potem tak było, i gdzieś tam znowu tak było!... W takim najczęściej rozważaniu moje życie wojenne toczy się przedemną. Widzę wszystko jak na dłoni, bo wszystko w żywej zachowałem pamięci. Nieraz też westchnę nad losem poległych towarzyszy, błogosławiąc Boga, że mi dozwolił przywleć me kości na naszą ziemię. Ile zaś razy wspomnę na wszystkie okropności wojny, dreszcz mnie przechodzi i mówię skruszony: pokój na ziemi ludziom dobrej woli!



4
 Data 240
 Znak 240
 Nr inv. 151

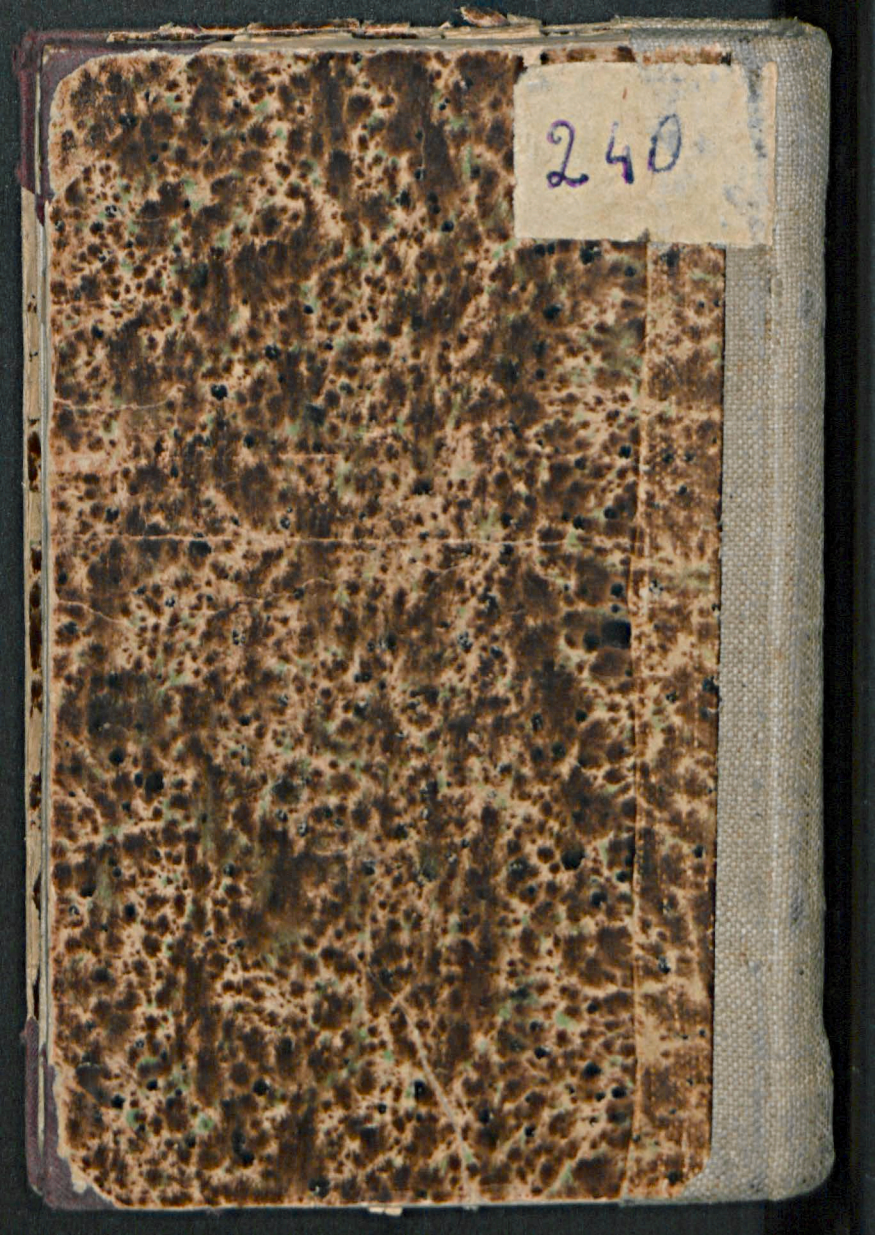


[Handwritten signature]

matec
nierz
a moż
tarap
łem s
więc
wie.
bieta,
towarz
lowego
reszcie
nocnym
Z las
wałek
mnie k
mogli v
człowie
trzymał
nie doś
do trud
tju opa
cówce.
gwiazdy
różne w

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.





240